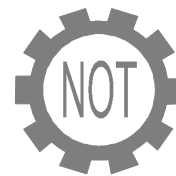




Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej
przy
Zarządzie Federacji Stowarzyszeń Naukowo-
Technicznych NOT



WSPOMNIENIA Z KIJOWA

VIII

WSPOMNIENIA ZE STUDIÓW
W POLITECHNICE KIJOWSKIEJ
W LATACH 1951 – 1956

(wybrane rozdziały ze skrótami)

Wrocław

maj 2003

SPIS TREŚCI

Wstęp

Od autora

Kurs przygotowawczy w Warszawie
Sierpień 1951 r.

Pierwszy rok studiów
Rok akademicki 1951 – 1952
Niewiarygodna harówka

Drugi rok studiów
Rok akademicki 1952 – 1953
Przenoszę się na wydział elektryczny

Trzeci rok studiów
Rok akademicki 1953 – 1954
Praktyka produkcyjna w Charkowie

Czwarty rok studiów
Rok akademicki 1954 – 1955
Praktyka produkcyjna w Świerdłowsku
Poznanie Walentyny

Piąty rok studiów
Rok akademicki 1955 – 1956
Praktyka produkcyjna w Moskwie
Praca dyplomowa – zostaję inżynierem
Oświadczam się Walentynie

Posłowie

Bibliografia

Wybrane wiersze

Politechnika Kijowska – moja Alma Mater
Cmentarze żołnierzy radzieckich we Wrocławiu
Cmentarz żołnierzy polskich we Wrocławiu

Załączniki

Dyplom i wykaz ocen

Dodatek

Zdjęcia



*Dedykuję
wszystkim Ludziom Życzliwym, których
poznałem w okresie studiów
w Politechnice Kijowskiej
w latach 1951 – 1956
Autor*

OD AUTORA

Jest lato 1998 roku, zacząłem 70-ty rok życia. Przed kilku miesiącami ustały moje związki z pracą zawodową. Najwyższa to już była ku temu pora, ażeby zachować jeszcze chociaż trochę zdrowia i sił na dalsze lata życia. Teraz mam dużo czasu dla siebie, po prostu się nim delectuję. Smakuję wolność i cieszę się, że nareszcie mogę robić to, co mi się podoba i to w czasie, kiedy mam na to ochotę.

Z minionych lat życia wyłaniają się wspomnienia, tłoczą się, jakby się o coś dopominały. Może by więc tak o czymś napisać... Przeżyło się przecież sporo – lata przedwojenne, wojnę światową, okres budowy socjalizmu i obecne lata gospodarki wolnorynkowej. Najchętniej wszakże wracam myślą do lat młodości, kiedy to byłem zdrowy i silny, optymistycznie i przyjaźnie usposobiony do otaczającego świata. A jeśli już wracać myślą do młodych lat, to najlepiej będzie powspominać, jak żyło się w okresie studiów.

Właśnie dotarła do mnie wiadomość, że w 1998 roku minęło okrągłe sto lat od zatwierdzenia projektu utworzenia Politechniki Kijowskiej. A to przecież jest moja Alma Mater. Studiowałem tam w latach 1951 – 1956 na wydziale elektrycznym i uzyskałem tytuł magistra inżyniera o specjalności maszyny elektryczne.

(...)

Okres lat powojennych sprzyjał rozwojowi wiedzy technicznej, tak potrzebnej naszemu krajowi. Ja także znalazłem się w gronie tych, co chcieli odbudować i rozbudować polski przemysł.

Po przymusowych kilkuletnich „wakacjach” (lata 1941 – 1945), kiedy to w moim miasteczku ani też w okolicy nie było żadnych szkół dla Polaków, zaraz po wojnie koniecznie chciałem uczyć się. Dla wyjaśnienia należy podać, iż możliwości kontynuowania nauki w latach 1941 – 45 nie było dlatego, że po 22 czerwca 1941 roku województwo białostockie, w tym moje miasteczko Szczuczyn, zostało włączone do Rzeszy Niemieckiej i szkoły dla Polaków nie działały, nawet podstawowe. (...)

Zbliżała się matura, czas już był po temu, żeby pomyśleć: co dalej? Swoje ciągoty humanistyczne oceniłem samokrytycznie, że to wystarczy tylko jako hobby, ot przeczytać sobie dla relaksu jakiś wiersz czy dobrą książkę. Nie mógłbym także zostać ani lekarzem, ani prawnikiem. W podjęciu decyzji pomogły wspomnienia z lat dziecińczych. Otóż przed wojną w moim miasteczku pracowała mała elektrownia dieslowska. O zmroku mechanik uruchamiał zespoły prądotwórcze i prąd płynął do mieszkań oraz zapalały się latarnie uliczne. W pobliżu tej elektrowni mieszkał mój kolega ze szkoły Henio M. Latem po kąpieli wygrzewaliśmy się na rozpalonych słońcem beczkach po paliwie do silników napędzających generatory. Wieczorami obserwowaliśmy pracę maszyn, na co zezwalał nam wyrozumiały mechanik. Wtedy to właśnie myślałem o tym, że gdy dorosnę, to będę budował maszyny, które wytwarzają prąd.

Przypomniawszy sobie dawne marzenia, nie miałem już wątpliwości, że studiować będę na politechnice i to najlepiej w Gdańsku. (...) Z tym Gdańskiem i z tym morzem to jednak nie wyszło.

Gdzieś tak kilka tygodni przed studniówką do klasy, podczas zajęć, wszedł Pan Dyrektor szkoły i oznajmił, że można zgłaszać się na studia zagraniczne, głównie do Związku Radzieckiego. W roku ubiegłym wyjechało tam dwoje absolwentów z naszej szkoły. Przewiduje się, że w tym roku będzie podobnie. W pierwszym odruchu zgłosiło się spore grono przyszłych maturzystów, deklarując swoją decyzję przez powstanie. Ale już nazajutrz, po konsultacjach rodzinnych, liczba chętnych zdecydowanie zmalała. W rezultacie pozostało tylko dwóch. W tej skromnej liczbie byłem i ja. Przekazano nasze zgłoszenia do ówczesnego Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i tam już zajęto się dalszym tokiem sprawy. Oczywiście, że uprzednio trzeba było zdać maturę i to na dobre oceny.

O tym jak mi się studiowało w dawnym Związku Radzieckim, a konkretnie w Kijowie, piszę w następnych rozdziałach. Swoje wrażenia chciałbym przedstawić tak, jak je wówczas odbierałem, prosto z życia, czasem tylko z pewną oceną z dystansu minionych lat. Nie wnikam też imiennie w czyjeś postawy, gdyż mogły one w wielu przypadkach ulegać zmianom w toku wydarzeń na przestrzeni minionych lat.

Po studiach, w 1956 roku wróciłem do kraju z dyplomem inżyniera o specjalności maszyny elektryczne. (...) W Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego otrzymałem zaświadczenie w języku polskim o przysługującym mi tytule magistra inżyniera elektryka, otrzymałem także nakaz pracy, obowiązujący trzy lata. Zgodnie z tym nakazem podjąłem pracę w Dolnośląskich Zakładach Wytwórczych Maszyn Elektrycznych M-5 we Wrocławiu. Zakład ten znany był później w całym świecie jako DOLMEL. O losach tego zakładu w ostatnich latach napiszę na końcu.

Rok 1956 był ostatnim, gdy absolwenci wyższych uczelni otrzymywali nakazy pracy. Od początku podjęcia pracy zawodowej pracowałem w biurze konstrukcyjnym. Przepracowałem w tym samym biurze ponad 40 lat, aż do 67 roku życia na pełnym etacie, a później jeszcze prawie dwa lata na etacie częściowym. Przydała się wiedza nabyta w czasie studiów, przydała się też nabyta na studiach łatwość korzystania z literatury technicznej w języku rosyjskim. Sprawdzała się także nabyta na studiach systematyczność i wytrwałość w pracy.

Polubiłem swoją pracę. Nie będę skrywał, że stała się ona główną treścią mojego życia, była dla mnie czymś bardzo osobistym. Wiele lat projektowaliśmy maszyny elektryczne o różnych parametrach dla kraju i na eksport. Nabyliśmy w tym dużego doświadczenia. Nasza firma DOLMEL liczyła się w świecie. Niestety, płace nasze zawsze były niskie i w niewielkim tylko stopniu uzależnione od osobistego wkładu pracy. Mogę teraz z całkowitym przekonaniem stwierdzić, że poniesione na moje wykształcenie koszty społeczne zwróciłem i to z dużą nawiązką. Pewną rekompensatą, jakby dodatkiem do chudych poborów, były wyjazdy zagraniczne (...). W ślad za moimi maszynami, ażeby je wdrożyć do pracy, dotarłem nawet do Ameryki Południowej, do Ekwadoru. (...) Przyszło uczyć się języka angielskiego, a nawet hiszpańskiego. Jeżeli chciało się jeździć po świecie, to należało się doszkalać, odpowiednio do potrzeb. Miałem swoje zasady. Po dobrze wykonanej pracy lubiłem się dobrze zabawić. To taka szwależerska fantazja – solidna praca, a potem zabawa w towarzystwie wesołych brunetek, przy czystej wódeczce w cienkim szkle. (...)

W Politechnice Kijowskiej, już od początku jej powstania w czasach carskich, studiowało wielu Polaków. Utworzyli oni w 1922 roku przy Stowarzyszeniu Techników Polskich w Warszawie Koło Wychowanków Politechniki Kijowskiej. W roku 1928, w 30-lecie Politechniki Kijowskiej, odbył się w Warszawie pierwszy zjazd jej absolwentów. W 1929 r. (a więc w roku mego urodzenia) w zjeździe absolwentów pięciu uczelni kijowskich uczestniczyło 700 osób, a w 10 lat później w analogicznym zjeździe wzięło udział około 600 absolwentów. Zakładając, że na zjazd przybyła tylko część absolwentów, przyznać trzeba, iż absolwenci uczelni kijowskich odgrywali w owym czasie w Polsce dużą rolę.

Po drugiej wojnie światowej spotkanie absolwentów Politechniki Kijowskiej odbyło się w Warszawie w 1957 roku. Politechnika nosiła wtedy nazwę: Киевский политехнический институт (w skrócie KPI). W 1958 roku reaktywowano przedwojenną organizację pod nazwą Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Naczelnej Organizacji Technicznej. Przewodniczącym Sekcji został student KPI sprzed pierwszej wojny światowej Stanisław Grzymałowski. (...)

Od maja 1976 roku corocznie odbywają się spotkania absolwentów Politechniki Kijowskiej w różnych, ciekawych zakątkach naszego kraju, tam gdzie mieszkają większe grupy absolwentów. Na nasze spotkania przyjeżdżają także profesorowie z Politechniki Kijowskiej. Jest ciekawie i nastrojowo. Przy ogniskach śpiewamy piosenki i wspominamy tamte lata.

Niestety, upływa czas! W ostatnich latach ja już należę do najstarszej generacji przyjeżdżających na spotkania absolwentów. A przecież kiedy przy ognisku, wśród strzelających w górę iskier, mówimy o tamtych kijowskich naszych latach, to wydaje się, iż wszystko to było tak jeszcze niedawno, że zaraz rozejdziemy się do naszych domów studenckich, a jutro spotkamy się na korytarzach Instytutu. Więż młodszych, studenckich lat pozostaje zawsze żywa.

Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci Kijów wybornie się rozbudował. W mojej wszakże pamięci pozostał tamten, mój Kijów, tamta atmosfera nauki na Politechnice z okresu, gdy ja tam studiowałem. Śnią mi się piękne, wysadzone kasztanami bulwary i ukwiecone parki na stokach Dniepru, beztraska atmosfera spacerów i... tamte dziewczyny.

Każdy ma naturalne prawo do własnego osądu swojej młodości. Po przeszło czterech dziesiątkach lat – to już prawie historia. W Kijowie nie było mi źle, a prawdę mówiąc, było mi tam bardzo dobrze. Nie wypada zatem pisać zbyt krytycznie o tamtych czasach, gdyż inaczej musiałbym uchodzić we własnej świadomości za kabotyna lub renegata.

Chciałbym opisać czas moich studiów w Kijowie w taki sposób, jak to wówczas patrzyłem na toczące się wokół życie, opisać wydarzenia bez przesadnej, z góry zamierzonej krytyki. Chciałbym niejako usprawiedliwić się z tego, że w opisach sytuacji zachodzących na poszczególnych latach studiów powtarzają się podobne treści. Wspomnienia obejmują okres pięciu lat i sytuacje oraz wydarzenia faktycznie powtarzały się. Jak wynika z tekstu, szczególnym przeżyciem było dla mnie obcinanie włosów na języka, o czym wspominam kilkakrotnie.

Uplęło już tyle lat, a świat wciąż toczy się po swoich orbitach. Życie płynie, wciąż płynie, jak rzeka od źródeł do ujścia. 7 września 2001 roku minęło 50 lat od dnia, w którym rozpocząłem studia w Politechnice Kijowskiej!

KURS PRZYGOTOWAWCZY W WARSZAWIE SIERPIEŃ 1951 ROKU

Piękny wydaje się świat, kiedy w porze letniej przebywa się na Mazurach, a w dodatku jest się młodym i zdrowym. Tamto lato w roku 1951 było dla mnie piękne i przełomowe. Miałem 22 lata, dużo zapału i ciekawości szerokiego świata. Paradowałem w rodzinnym miasteczku w czapce licealisty i z nowiutkim świadectwem dojrzałości w kieszeni. Wydawało mi się, że ludzie powinni podziwiać świeżo upieczonego maturzystę, który w dodatku wyjeżdża na studia zagraniczne. (...)

Wyjazdy w szeroki świat były zapisane dla mnie w gwiazdach. Tuż przed wojną, w sierpniu 1939 roku, razem z moim starszym kolegą z innej szkoły w miasteczku, byłem na kolonii letniej w pobliżu Rabki. Była to kolonia prowadzona przez YMCA. Jakże tam było wspaniale! Piękna zalesiona okolica, smaczne posiłki, zmyślny gry i zabawy. Nie da się już opisać tamtych dziecięcych dni z tak odległej perspektywy czasu. Wróciłem w ostatnich dniach sierpnia, tuż przed wybuchem wojny. W lipcu 1941 roku miałem jechać na wycieczkę do Moskwy. Wyjazd nie doszedł do skutku, gdyż 22 czerwca 1941 roku wybuchła nowa wojna: hitlerowskie Niemcy napadły na Związek Radziecki.

Wyjazd się odwlekał, ale nie uciekał. Właśnie dokładnie po 10 latach, w lipcu 1951 roku, oczekiwałem na zawiadomienie o powołaniu na kurs przygotowawczy przed wyjazdem na studia do ZSRR. Też się jakby zanosilo na nową wojnę, ale ja w to nie wierzyłem. (...)

W owym czasie Warszawa – to był już dla mnie daleki świat. Byłem tutaj jako dziecko w sierpniu 1939 roku, gdy jechałem na kolonię letnią. Byłem w 1947 roku na Ogólnopolskim Zjeździe Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Pamiętam, że w czasie obrad przemawiał Stanisław Mikołajczyk. Byłem tutaj także zaledwie kilka miesięcy temu, gdy brałem udział w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Matematycznej. Teraz na kursie miałem być trzy tygodnie, była więc okazja bliższego poznania stolicy.

Rozlokowano nas w pustych o tej porze domach studenckich. Mnie wypadło zamieszkać w nowo zbudowanym akademiku przy ulicy Karolkowej.

(...)

Wykłady mieliśmy w gmachu SGPiS-u (Szkoła Główna Planowania i Statystyki). Nieraz trzeba było wlec się dobrą godzinę tramwajem z Karolkowej na Rakowiecką. Dobrze, że chociaż stołówka była blisko, w SGGW (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego). Posiłki były nawet dość smaczne, tylko trochę za skąpe, jak na moje potrzeby energetyczne

(....)

W kursie uczestniczyło ponad 800 kandydatów na wyjazd na studia zagraniczne, głównie do uczelni w ZSRR, ale także w CSRS i w NRD. Już od początku kursu było wiadomo, że nie wszyscy wyjadą, co zaważyło na atmosferze kursu, szczególnie podczas seminariów z nauk społecznych, na których niektórzy popisywali się wręcz krasomówstwem i deklaratywnością. Zapowiedziano także na samym początku, iż w pierwszej kolejności wyjadą ci, co nie mają na świadectwach maturalnych ocen dostatecznych. Kryterium to poniekąd mi odpowiadało, jako że na świadectwie maturalnym miałem tylko oceny dobre i bardzo dobre, a tych ostatnich było nawet więcej. Nie potrafiłem jednak tak jak inni zabłysnąć w dyskusjach i deklaratywnie z emfazą okazywać swoich poglądów społeczno-politycznych. Mówiono też, że nie mam wyrobienia politycznego. Nie bardzo wtedy wiedziałem, na czym miałyby to polegać.

(...)

Kierownictwo kursu podzieliło nas na grupy specjalistyczne. Ja, rzecz jasna, znalazłem się w grupie z tymi, którzy mieli studiować w uczelniach kształcących inżynierów. Mając jeszcze świeżo w pamięci zadania z Drugiej Ogólnopolskiej Olimpiady Matematycznej zamęczałem ich rozwiązywaniem kolegów z pokoju, a także i innych, jeśli tylko chcieli się wdawać w dyskusję ze mną. Uchodziłem za fanatyka matematyki. Zapamiętano mi to. Po latach, gdy spotkałem znajomego z kursu, od razu nawiązał do tamtych matematycznych dyskusji. Dla kandydatów na studia w ZSRR prowadzony był kurs intensywnej nauki języka rosyjskiego. Były to zajęcia bardzo pożyteczne, nabyta wiedza przydała się już wkrótce. Prowadzone były także koła zainteresowań.

(...)

W końcowym okresie trwania kursu panuje wśród uczestników atmosfera niepewności. Mają być wywieszane listy zakwalifikowanych na wyjazdy do poszczególnych krajów, w tym oczywiście także i do ZSRR. Wiadomo było, że nie wszyscy wyjadą. Ja, wierząc w siłę ocen na świadectwie maturalnym, zachowywałem stoicki spokój. Zresztą jeśli nie wyjadę, to będę studiował w kraju, tutaj także otrzymuje się stypendium i zakwaterowanie w domu studenckim. Coś tam się jeszcze dorobi, a i rodzina trochę pomoże. Jeśli tylko ktoś chciał studiować i miał ku temu predyspozycje, to warunki materialne nie były już główną przeszkodą. Ja to wciąż jeszcze pamiętam, a przecież znam wielu takich, co to pokończyli studia dzięki stypendiom i bardzo szybko o tym zapomnieli, głosząc, iż socjalizm zniszczył ich kariery.

Moją sytuację wyjaśnia kierownik mojej grupy kursowej, informując, że zostałem zakwalifikowany na wyjazd do ZSRR, ale nie na wydział elektryczny, lecz na wydział mechaniczny o specjalności spawalnictwo. Twardo protestuję twierdząc, że bez łaski, mogę w ogóle nie jechać. Ale mój rozmówca nie daje za wygraną, uświadamia mnie, iż nie wypada odmawiać wyjazdu na studia w ZSRR, twierdzi, że jest to wyróżnienie, że będę studiował w Kijowie. Gdy wciąż nie ustępuję dodaje, że po roku będę mógł przenieść się na inny wydział, on zna takie przypadki, a jeśli teraz odmówię, to mogę mieć kłopoty z podjęciem studiów w kraju. Tak zasadnicze argumenty zmiękczyły moją wolę i wyraziłem zgodę na przedstawioną propozycję. Mój rozmówca jakby odetchnął z ulgą, miał najwidoczniej kłopoty ze znalezieniem kandydata na spawalnictwo i w stosunku do mnie zastosował najbardziej skuteczne argumenty. A ja sobie mocno w duchu postanowiłem, iż za rok zrobię wszystko, żeby przenieść się na wydział elektryczny.

W jednym z ostatnich dni kursu odbyło się spotkanie uczestników, zakwalifikowanych na wyjazd do ZSRR, z lektorem Komitetu Centralnego PZPR. Lektor dużo mówił o osiągnięciach gospodarczych i naukowych Związku Radzieckiego, podkreślał ogrom wysiłku i ofiar, jakie poniosły narody ZSRR w wojnie z faszystowskimi Niemcami w obronie własnej ojczyzny i w ratowaniu przed zagładą wielu narodów Europy. (...) Po pewnym czasie lektor zmienił ton i mówił o tym, że możemy być zaskoczeni w ZSRR widocznym niedostatkami artykułów żywnościowych w sklepach, widokiem żebrzących na ulicach inwalidów wojennych, obdartych kołchoźników z tobołami, przyjeżdżających do miasta, żeby sprzedać swoje produkty i zrobić zakupy. Słuchałem tego z konsternacją. Upřednio nie slyszalem czegoś takiego podawanego w sposób oficjalny z trybuny, ani też nie czytałem o tym w gazetach. Niemniej dobrze się stało, że nam o tym powiedziano otwarcie przed wyjazdem. Napotkana rzeczywistość już tak nie szokowała, bo człowiek był upzedzony.

Na zakończenie kursu podano, że o terminie wyjazdu zostaniemy zawiadomieni korespondencyjnie. Trzeba zatem uzbroić się w cierpliwość i czekać. Tak to już jest, że w ciągu całego życia wciąż się na coś czeka!

PIERWSZY ROK STUDIÓW ROK AKADEMICKI 1951 – 1952 NIEWIARYGODNA HARÓWKA

1.

W ostatnich dniach sierpnia 1951 roku przebywając w domu rodzinnym oczekiwałem niecierpliwie zawiadomienia o dacie wyjazdu na studia w ZSRR. Syciłem się swoistym urokiem stron rodzinnych, ażeby utrwalić w sobie ich obraz tak, by można było go przywołać w trudnych chwilach na obczyźnie.

Niezwykle skromnie zostały wyposażone przez naturę te moje strony rodzinne – polodowcowe pagórki morenowe, wijąca się pośród torfowisk rzeczulka o nazwie Wissa, wywodzącej się z dawnej gwary jaćwieskiej, rachityczne lasonki na piaszczystych wzgórzach, zakwaszone pastwiska w dolinach, szachownice łąnów żyta, jęczmienia i owsa, rzadko łąny pszenicy. Tylko ziemniaki plonowały tutaj dobrze i były smaczne.

Ludzie tu pracowici i religijni. Utrudzeni pracą rolnicy wracali z pół tuż po zachodzie słońca wozami, ciągnionymi często tylko przez jednego konika. Konik człapał wolno i nikt go nie popędzał, bo z tyłu szła uwiązana do wozu krowina. Życie tutaj w owym czasie niewiele różniło się od tego w czasach panowania tu zaborców. Niewiele zmieniło się w technice uprawy roli i w sposobie bycia. Tak powiadali ludzie starsi, pamiętający tamte czasy sprzed pierwszej wojny światowej. Wspominali swoją służbę w carskiej armii i koleje losu podczas tamtej wojny.

Na piaszczystym, polodowcowym wzgórku stoi piękny kościół barokowy, którego fundatorami byli Antoni Szczuka, pierwszy właściciel mojego rodzinnego miasteczka i król Jan Sobieski. Od nazwiska właściciela wywodzi się nazwa miasteczka: Szczuczyn.

W przylegającym do kościoła budynku dawnego zakonu pijarów mieściła się szkoła powszechna. Do tej szkoły przyprowadziła mnie po raz pierwszy mama w 1935 roku, jako niespełna jeszcze siedmioletniego chłopca. Tutaj nauczyłem się czytać, pisać i rachować. Także tutaj, już po wojnie, ukończyłem gimnazjum i stąd startowałem w daleki i szeroki świat.

Na przeciwległym wzgórzu położony jest cmentarz. Tam spoczywa moja mama. Zmarła na gruźlicę w 1940 roku, mając tylko 36 lat. Spoczywa też zmarły w 1934 roku, w wieku lat dwu i pół, mój braciszek Stasio. Spoczywają także dziadkowie. Wybiegając daleko w przyszłość chciałbym dodać, że na tym cmentarzu pochowany został także w roku 1972 mój nieodżałowanej pamięci ojciec, niezastąpiony przyjaciel mego życia, szczery, serdeczny, bezinteresowny. Żył lat 67.

(...)

Kilka dni przed wyjazdem odwiedziłem stryjka, mojego chrzestnego ojca. Bardzo go szanowałem i chciałem się z nim pożegnać. Stryjek wrócił w 1946 roku z Syberii, gdzie został przymusowo przesiedlony w 1940 roku, razem z całą rodziną. Przed wojną stryjek pracował jako gajowy w lasach państwowych w okolicach Rajrodu i stamtąd został wywieziony w jednym z pierwszych transportów.

Na Syberii stryjek pracował w kołchozie niedaleko Omska. Po powrocie wrócił do zawodu i pracował jako gajowy w okolicach Etku. Ponad pięcioletni pobyt na Syberii wyrzył swoje piętno w psychice stryjka. Na uroczystościach rodzinnych, kiedy nastrój był już wesoły, stryjek lubił śpiewać syberyjskie czastuszki (...) Z sympatią wspominał swoich sąsiadów z kołchozu. Mówił, że nie okazywali oni ani niechęci, ani tym bardziej nienawiści do przybyszów z dalekiego kraju, przymusowo przesiedlonych. Pod względem materialnym wszyscy mieli się podobnie. Natomiast źle wyrażał się o organach władzy, szczególnie o NKWD, które realizowały polecenia swoich zwierzchników.

Zakrawa to jakby na groteskę, iż stryjek, mój chrzestny ojciec, lat temu jedenaście był przymusowo deportowany do ZSRR, a ja teraz wyjeżdżam tam dobrowolnie. Stryjek wszakże nie odradza mi wyjazdu, tylko przestrzega, żeby unikać kontaktów z władzami i szukać przyjaciół wśród prostych ludzi. Wziąłem to sobie głęboko do serca i zawsze miałem na uwadze tę stryjkową przestrożę. Nie wchodziłem w żadne układy z władzami ani z ich agenturami.

2.

Tak się to jakoś złożyło, że 1 września, gdy siostra wybierała się na inaugurację roku szkolnego w swojej szkole podstawowej, ja otrzymałem zawiadomienie, iż za dwa dni mam się zgłosić w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego w Warszawie przy ulicy Miodowej po odbiór dokumentów, jako że 5 września mam lecieć samolotem do Moskwy. (...)

Spakowałem swoje rzeczy osobiste, jakże wtedy skromne i pojechałem do Warszawy pociągiem z Grajewa przez Białystok.

W Ministerstwie otrzymałem paszport zagraniczny (pierwszy w moim życiu), bilet na samolot, dewizy, czyli ruble oraz talony na zakup odzieży w Centralnym Domu Towarowym. Talony te to była miła niespodzianka. Pomyślano zatem także i o tym, żeby nasza polska młodzież należycie się prezentowała w ZSRR. Na kursie było dobrze widać, że z tym jest różnie. Za otrzymane talony nabyłem: obszerną i mocną walizę, dużą teczkę, brązowe ubranie z wełny, całkiem ładne półbuty i brązowy płaszcz w jodełkę. Starczyło nawet na czapkę z dużym rondem, bo jakże wówczas mogło być inaczej, taka była moda. A wszystko to było takie nowiutkie i tak cieszyło! Żałowałem, że nie mogę teraz pojechać do swego miasteczka, pospacerować po jego ulicach, żeby ludzie widzieli, że wychodzę z zaściankowej szarzyzny. (...)

3.

W Moskwie zakwaterowano mnie w domu studenckim. Miałem do swojej dyspozycji dwa dni. Zwiedziłem więc centrum miasta, jeździłem metrem, podziwiając pałacowy wystrój stacji i punktualność kursowania pociągów. (...)

Z Moskwy do Kijowa przyjechałem pociągiem. Na peronie czekał na mnie polski student z drugiego roku. W domu studenckim nr 1 Kijowskiego Instytutu Politechnicznego (KPI) wskazano mi pokój, w którym miałem zamieszkać. Czekają tam na mnie łóżko pod oknem, tuż przy kaloryferze. Najwidoczniej było to miejsce najgorsze w pokoju, bo tylko ono było jeszcze wolne. Trudno, przyjechałem ostatni, a dla ostatnich pozostają przysłowiowe kości.

W podłużnym pokoju stało siedem łóżek i więcej w żaden sposób ustawić by się już nie dało, o ile w ogóle miałyby się tam mieszkają. Było bardzo ciasno. Dotychczas zawsze mieszkalem w pomieszczeniach ogrzewanych piecami kaflowymi i nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaka to będzie dla mnie udręka, gdy zacznie grzać kaloryfer. Na początku września było jeszcze ciepło i do sezonu grzewczego pozostawało sporo czasu, więc się zbytnio nie przejmowałem tym, jak to będzie dalej. Ważne było, że koledzy z pokoju przyjęli mnie przyjaźnie i od razu zaakceptowali.

Teraz tutaj miał być mój dom, w tym ciasnym pokoju dwupiętrowego domu studenckiego, usytuowanego frontem do małej, leżącej na przedmieściu ulicy, która wówczas nazywała się Polewaja, a później została przemianowana na ulicę akademika Jangiela. Z okien mego pokoju, usytuowanego po stronie przeciwnej do ulicy, rozpościerał się widok na park i tereny sportowe uczelni.

Nazajutrz w dziekanacie otrzymałem skierowanie do grupy uczelnianej spawalników, starosta wpisał moje nazwisko do dziennika obecności na zajęciach i odtąd stałem się pełnoprawnym studentem pierwszego roku Politechniki Kijowskiej. I tak skończyły się moje emocje wyjazdowo-pryjazdowe, a zaczęły się szare dni studenckich zajęć.

W pierwszych dniach niezmiernie ciekawy byłem nowego dla mnie świata i wypuszczałem się po zajęciach do centrum miasta, znanego mi dotąd jedynie z nauki geografii i historii. Doszedłem wszakże do wniosku, iż poznanie szczegółowe miasta to na razie nic pilnego, będzie na to dużo czasu. Teraz najważniejsza była nauka, która ze względu na język wcale nie przychodziła łatwo.

4.

Na pierwszym roku studiów podstawowe przedmioty to jakby kontynuacja nauki ze szkoły średniej, a więc głównie matematyka, fizyka i chemia. Doszły do tego pierwsze przedmioty związane z zawodem inżyniera, a więc geometria wykreślna i rysunek techniczny. Dla ścisłości należy dodać, że uczyliśmy się także ekonomii politycznej oraz podstaw marksizmu-leninizmu.

W szkole średniej w Ełku miałem świetnych wykładowców z matematyki i fizyki, którzy dobrze przygotowali swoich wychowanków do dalszej nauki. Chwała im za to, bo dzięki nim ja teraz w Politechnice Kijowskiej czułem się całkiem pewnie. Miałem natomiast trudności z notowaniem wykładów. Te moje notatki to istne „carmen macaronicum” lub jak kto woli „cicer cum caule”, czyli po prostu groch z kapustą. Notowałem po polsku, tłumacząc sobie naprędce słowa wykładowcy, to znów polskimi literami zapisywałem rosyjskie słowa. Wszakże w miarę upływu czasu, z trudem bo z trudem, zaczynałem notować po rosyjsku. Niestety, jeszcze nie nadążałem i opuszczałem wiele słów, a nawet zdań.

Na wykładach matematyki nie było źle, główną część wykładu stanowiły wzory, słów było stosunkowo niewiele. Dla lepszego przyswojenia wykładanego materiału wypożyczałem z biblioteki odpowiednie podręczniki i po zajęciach studiowałem przedmiot i uzupełniałem notatki. Nie było innej rady, barierę językową trzeba było pokonać uporem oraz cierpliwą i żmudną pracą. Pocieszałem się tylko, że gdy lepiej poznam język rosyjski, będzie mi lżej.

Zajęcia praktyczne z matematyki w naszej grupie prowadziła młoda absolwentka uniwersytetu. Niektórzy studenci, jak chociażby ci, co walczyli na froncie podczas wojny i wciąż nosili się po wojskowemu, są od niej znacznie starsi wiekiem i dla nich taka dziewczyna to żaden „komandir”, ot po prostu ładna dziewczuszka. Toteż, kiedy wykładowczyni patrząc na salę usiłuje dociec, na ile audytorium rozumie jej wywody, ktoś tam beczelnie puszcza do niej perskie oko. Dziewczyna rumieni się i błagalnym wręcz głosem prosi:

- Товарищи, прекратите безобразие.

Po kilku zajęciach, gdy rezolutna dziewczyna zaczęła stawiać oceny, ustaly swawole, atmosfera stężała, dystans wiedzy nauczył szacunku do niewysokiej kobiety o młodych śmiejących się oczach.

Dziwiło mnie to, że starosta grupy odnotowuje w dzienniku obecność studentów, i to zarówno na wykładach, jak i na ćwiczeniach. Starosta, czy to z charakteru, czy też może z racji swojej funkcji, zachowuje zawsze godną postawę, jak mówią niektórzy „серьёзную мину”. Nosi się po żołniersku w dopasowanej „гимнастёрке” (bluza wojskowa), ściągniętej szerokim, skórzanym pasem, w czarnych spodniach oficerskich wpuszczonych w skórzane buty, zawsze wyglansowane na wysoki połysk. Taka to była wówczas moda powojenna dla młodych mężczyzn zdemobilizowanych z armii.

W rozmowie starosta połyskuje złotym zębem. Nosilem się przekornie z zamiarem zapytania starosty, czy ząb stracił na wojnie. Ale na szczęście zawsze w porę wstrzymałem się.

Dziwiło mnie także i to, że starosta nie uczestniczył w zebraniach Komsomołu. Pewnego razu, kiedy to zaraz po zajęciach miało się odbyć w tej samej sali zebranie Komsomołu i gdy opuszczałem pomieszczenie, zdziwiłem się, że razem ze mną wychodził z sali także starosta. Na korytarzu zwrócił się do mnie:

- Только мы с тобой, Юзеф, беспартийные в этой группе.

Pozostali bowiem zostali na zebraniu. Byłem tym zaskoczony, gdyż w moim przekonaniu funkcję starosty powinien był pełnić członek Komsomołu. Później dziwować się przyszło wielu innym rzeczom.

Studiujący w Kijowie, jak i w całym ZSRR Polacy, jako obywatele obcego państwa, nie mogli należeć do organizacji radzieckich. Kontynuowaliśmy działalność naszych, polskich organizacji młodzieżowych i partyjnych. Mieliśmy też swoją organizację środowiskową zwaną Ziomkostwem. Zebrania plenarne tej organizacji odbywały się w polskim Konsulacie. Tam też otrzymywaliśmy co miesiąc część stypendium przekazywaną z kraju w kwocie 320 rubli. Drugą część stypendium, niejako zasadniczą, w kwocie 500 rubli, otrzymywaliśmy w kasie Politechniki. Łączna kwota 820 starych rubli całkowicie wystarczała na utrzymanie. Żywność w owym czasie była stosunkowo tania. Szczególnie tani był chleb, miało się wrażenie, że rozdaje się go prawie za darmo. Dobry obiad w stołówce Politechniki kosztował 5 – 6 rubli.

Nie było żadnych zniżek ani na dania stołówkowe, ani na transport miejski. Nie można też było, szczególnie na pierwszych latach studiów, pojechać do domu na święta i przywieźć ze sobą gościńca ani liczyć na otrzymanie paczki od rodziny.

Nie wydawałem jeszcze wtedy pieniędzy ani na alkohol, ani na papierosy i dzięki temu część stypendium mogłem zaoszczędzić na kupno potrzebnych rzeczy osobistych, a nawet odłożyć na zakup czegoś droższego. I właśnie zaraz po otrzymaniu drugiego z kolei stypendium kupiłem sobie zegarek na rękę popularnej wówczas marki, czyli „Pobiedę”. Kosztował 230 rubli. Służył mi długie lata, odznaczał się idealną wprost dokładnością i niezawodnością.

5.

Do zajęć praktycznych, które prowadzone były dla jednej lub kilku grup, trzeba się było przygotowywać. Zadawano prace domowe i kontrolowano ich wykonanie, praktycznie jak w szkole średniej. A tu warunki do nauki w pokoju domu studenckiego były, mówiąc oględnie, trudne. Bo też kiedy wszyscy zejdą się w pokoju po zajęciach i złączą przygotowywać posiłki, tudzież oznajmiać gromkim głosem swoje spostrzeżenia z ostatniego dnia, robi się kociokwik i uczyć się niesposób.

Można uczyć się w pokoju przeznaczonym do nauki, lecz jest tam zazwyczaj tłoczno i głośno. A hałas mnie po prostu rozstraja. W dodatku w niedzielne popołudnia studenci starszych lat organizują w tej sali potańcówki przy płytach, ku rozpaczy kolegów z pierwszego roku. Koszmar!

Ktoś poradził mi, że w godzinach popołudniowych jest wiele pustych sal w Instytucie (tak mówiliśmy pomiędzy sobą o naszej uczelni) i że tam można się uczyć. Rada okazała się bardzo na czasie, wręcz zbawcza.

Nawet kiedy w Instytucie trwały jeszcze zajęcia, to zawsze można było znaleźć jakiś wolny pokój. (...) Ślęczałem pochłonięty nauką nieraz do późna i zdarzało się, że po zamknięciu podwoi Instytutu wydobywałem się na zewnątrz przez okno na parterze. Taka nauka w zaciszu pustych sal przyniosła efekty. Pewniej już czułem się na ćwiczeniach i otrzymywałem dobre noty z prac kontrolnych. Jeden ze sprawdzianów z matematyki wyszedł mi najlepiej z całej grupy.

Stosowany wtedy w Instytucie system nauki wdrażał studenta do systematycznej pracy i ugruntowywał podstawową wiedzę techniczną. Bezpośrednio już związanym z zawodem inżyniera przedmiotem był rysunek techniczny. Będąc po szkole ogólnokształcącej nie miałem w tej dziedzinie żadnych nawyków, a co gorsza nie miałem także predyspozycji do odręcznego rysowania. Na szczęście tutaj nie architektura, rysuje się głównie linie proste i łuki, posługując się liniałem i cyrklem. (...)

Po kilku wstępnych wykładach zaczyna się rysowanie na brystolu. Wypożyczyłem w uczelnianej kreślarni deskę o wymiarach 120x120 cm, kupiłem przykładnicę, ekierki, odpowiednie ołówki oraz gumkę; kupiłem także dość kosztowny przyborek z cyrkłami i przenośnikami i zacząłem rysować. (...)

Rysowanie nie było przedmiotem trudnym, można nawet powiedzieć, że było przyjemne, gdyż pobudzało wyobraźnię, zabierało wszakże dużo czasu i powodowało niesamowity tłok w pokoju. Za łóżkiem każdego studenta stała duża deska do rysowania. I kiedy to dwóch, a często i więcej kandydatów na inżynierów siedząc na łóżkach opierało deski o stół i rysowało, to ja miałem spore trudności, żeby dostać się do swojego kącika pod oknem. A w miejscu tym czułem się pewnie, jak u siebie w domu.

Pod łóżkiem miałem sporą walizę z rzeczami osobistymi. Przechowywałem w niej także pieniądze, nawet zaoszczędzony kapitałik (...) W szafce nazywanej "тумбочка" była łyżka, nóż i widelec. Były tam także książki i zeszyty. Na szafce leżały rzeczy potrzebne akurat w danej chwili. Szafka ta służyła często jako stolik do pisania lub do spożywania posiłków.

Ubrania i płaszcze wisiały w szafie ustawionej tuż przy drzwiach. Za tą szafą był azyl Saszy. Zachowywał się on tam, jakby mieszkał w oddzielnym pomieszczeniu. Tam na swoim łóżku uczył się i wypoczywał. Do Saszy odnosiliśmy się z szacunkiem, był już na trzecim roku, prawie na półmetku studiów i miał za sobą tyle zdanych egzaminów! Znajomi Saszy mówili o nim, że jest polskiego pochodzenia. Kiedy z ciekawości zapytałem go o to, nie zaprzeczył. Sasza na każdy temat rozprawił z dużym zaangażowaniem i werwą. Szkoda tylko, że tak często używał przerywnika poddającego w wątpliwość konduktę czyjejs to matki. Po polsku rozumiał, ale mówić nie potrafił.

Na pogawędki w języku polskim przychodził do mnie Władysław z sąsiedniego pokoju. Przyjechał na studia do Kijowa z rodzinnego Brześcia. Pamiętał dobrze czasy przedwojenne, ze szczegółami opowiadał fragmenty filmu „Czy Lucyna to dziewczyna?”. Podśpiewywał sobie polskie piosenki z lat okupacji, ot chociażby „Za paczkę margaryny...”, czy też „Mówiła ciocia Zosi...”. Widoczne było, że rozmawianie w języku polskim sprawia mu przyjemność.

Ogólnie rzecz oceniając należy stwierdzić, iż atmosfera zarówno w pokoju, jak również w całym domu studenckim była swojska i życzliwa.

6.

Odmierzany regulaminem zajęć czas szybko upływał. Minął wrzesień, nastały dżdżyste, smutne dni jesienne. W parkach i na skwerach przyroda przywdziewała swą jesienną szatę (...)

Tak na co dzień to żyłem tylko nauką. Nabrałem już pewnej wprawy w rysowaniu i nawet mi się to podobało. Gorzej było natomiast z opisywaniem rysunków pismem technicznym. Po pewnym czasie pismo to także jako tako opanowałem, lecz nigdy nie byłem w tym biegły i zawsze przy stawianiu liter czy znaków na rysunkach musiałem bardzo koncentrować się.

Cieszy mnie fakt, że od dłuższego już czasu otrzymuję na zajęciach praktycznych z matematyki i fizyki dobre oceny, słowem nauka nie idzie w las. Lecz, niestety, sprawdza się także i inne porzekadło o tym, że nauka wymaga wyrzeczeń. A tych wyrzeczeń to jest chyba za dużo. Niewystarczająca wciąż znajomość języka rosyjskiego zwiększa, i to w dużym stopniu, trudności w nauce i nie tylko, bo także w życiu codziennym.

Pojawiają się symptomy wyczerpania, częste bóle głowy, udary gorąca, pot zlewa czoło i twarz bez powodu, i to często w najbardziej nieodpowiednim momencie, nadmiernie wychodzą włosy. Stają się posępny, wręcz ponury, już prawie nigdy się nie śmieję.

Nigdy dotąd nie miałem potrzeby, by tak usilnie uczyć się. Teraz okazało się, że nie wolno mi jest zapracowywać się na umór, nie mogę przekraczać osobistej granicy wytrzymałości. Po jej przekroczeniu kończą się zdolności normalnego przyswajania wiedzy, wszystko przychodzi z wielkim trudem. Można popaść w stan permanentnego przemęczenia i niepotrzebnie zrujnować sobie zdrowie.

Uświadomiłem sobie, że należy koniecznie zapobiec dalszej dewastacji organizmu. Na szczęście młody organizm szybko się regeneruje. Pomogły długie spaceru, na które wybierałem się nawet w tak zwaną „psią pogodę”. Częściej też zacząłem bywać w kinach. Zresztą długie spaceru zawsze były i są dla mnie najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości, nawet na przeziębienia. I tym razem kuracja pomogła. Wrócił apetyt i sen.

Chcąc ustrzec swoje włosy na dalsze lata kazałem zdziwionej fryzjerce ostrzyć je na krótkiego języka. Na początku odmówiła takiej usługi, tak jej było żal tych moich, układających się z tyłu w jaskółkę, ciemny blond włosów. W końcu cosik tam pod nosem pomruczała, wydawało mi się, że rzuciła brzydkim słowem, machnęła z rezygnacją ręką, jakby wyrażając w tym geście to, co o mnie myśli, i przystąpiła do dzieła.

Taką fryzurę, ku dezaprobach koleżanek, utrzymywałem przez pierwsze lata studiów. Tylko przed wakacjami zapuszczałem dłuższą plerezę. I na pewno to właśnie dzięki temu do dziś mam wcale bujną grzywę, chociaż już zupełnie siwą.

7.

Bardzo trudne były te pierwsze miesiące „studenta-rekruta” w Politechnice Kijowskiej. Dobrze, że chociaż nie trzeba się było troszczyć o stronę bytową studiów. Otrzymywane stypendium w kwocie 820 rubli było wystarczające. W stołówce Instytutu można było zjeść wysokokaloryczny obiad z kilku dań. Za 5 – 6 rubli można się było dobrze najeść. Na przystawkę brało się zwykle sałatkę jarzynową tzw. „winigred”. Bardzo mi smakował barszcz ukraiński – duży, głęboki talerz zupy z gotowanych jarzyn, w dodatku z wkładką mięsną.

Do wyboru było zawsze kilka dań mięsnych o wyszukanych nazwach. No i kasza manna z sokiem, jako danie uzupełniające, na deser. W kompocie zawsze było dużo suszonych owoców. Przy obiedzie zjadało się 100 g chleba ciemnego lub białego, i ten, i ten był bardzo, ale to bardzo smaczny. Śniadania i kolacje przyrządzało się zazwyczaj we własnym zakresie. Na rogu naszej ulicy Polewoj był całkiem dobrze zaopatrzonej sklep spożywczy zwany „gastronom”. Często w latach późniejszych będąc w Moskwie, czy też w latach tzw. „pustych półek” w sklepach mięsnych w naszym kraju, wspomniałem ten wybór apetycznych wędlin w sklepie na rogu mojej ulicy w Kijowie, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Kijów należał wówczas w Związku Radzieckim do wybranych miast o pierwszej kategorii zaopatrzenia. Trzeba także wspomnieć i o tym, że od jesieni 1951 do marca 1953 roku dwa razy obniżano ceny na artykuły żywnościowe.

Pamiętam dobrze, jak smaczny i tani był wówczas chleb i to zarówno bielutkie „batony”, jak i ciemne „cegiełki”. Zdarzało się czasami, że trzeba było postać kilkanaście minut w kolejce za chlebem. Nie było to wszakże dokuczliwe, bo wiadomo było, że chleb zaraz przywiozą, i to świeżutkie, pachnące, jeszcze ciepłutkie bułeczki. A jakże pyszne były produkty mleczne! Ileż to tam było smaków i rodzajów kefirów, jogurtów, śmietany i serów! Często kupowałem kakao z zagęszczonym mlekiem w puszkach. Łyżkę lub dwie tego zawiesistego płynu rozpuszczało się we wrzątku i pyszny napój był od razu gotowy. Wrzątek był zawsze dostępny. Gotowano go w dużym pomieszczeniu zwanym potocznie „kubowaja”. Ważne też było i to, że napój z kakao nie wymagał dosładzania. Bo właśnie z cukrem często były kłopoty, a już szczególnie późną wiosną, gdy zaczynało robić przetwory.. (...)

Z wędlin najbardziej popularne były grube kiełbasy, apetycznie pachnące czosnkiem. Jadałem, prawie codziennie, grube plastry tych parzonych kiełbas i nigdy mi nie zaszkodziły. Ważne, że były one stosunkowo tanie, a to dlatego, że zawierały bardzo mało słoniny. Na ogół, im kiełbasa była bardziej suto kraszona słoniną, tym była droższa. Słonina w owym czasie była w wysokiej cenie, jako wysokokaloryczny artykuł spożywczy. (...).

Powróćmy wszakże do Kijowa. Przypominam sobie, jak pewnego razu zapatrzyłem się na wędliny wystawione w witrynie dużego sklepu mięsnego w centrum miasta. Jako syna rzeźnika zawsze mnie to interesowało. Po chwili przystanąła młoda mama z kilkuletnią córeczką. Mama, trzymając dziecko za rączkę, chcąc jej najwidoczniej zrobić przyjemność, zapytała:

- Co tobie kupić, Ninoczka, do zjedzenia?

Dziewczynka bez żadnego namysłu odparła:

- Купи, мама, сало.

Mówiąc prawdę, to ja także od czasu do czasu kupowałem na początku pobytu w Kijowie słoninę, najchętniej wędzoną, z papryką, przywożoną ponoć z Węgier, o czym świadczyła chociażby gruba warstwa sproszkowanej papryki. Niestety, wycieńczony uporczywą nauką organizm źle trawił takie specjały, jak słonina z papryką i chcąc nie chcąc musiałem całkowicie zaprzestać spożywania słoniny, jaka by ona tam nie była.

W sklepach obsługiwały „dziewuszki” ubrane w czyściutkie, białe fartuszki i czepeczki. To nic, że niektóre z nich były mamami, a nawet babciami, mówiło się do każdej „dziewuszka”, a one nie protestowały. Podziwiałem wprawę, z jaką „rezały” kiełbasę i obliczały na liczydłach należności. Chleb podawały zakładając na rękę higieniczną rękawiczkę. Zawsze miały coś pikantnego do powiedzenia studentom. Wyczuwało się jednak, że studentów to one zbytnio nie poważały, bo to bractwo najczęściej nie miało pieniędzy i kupowało najtańsze produkty. Co innego, gdy do sklepu wchodził młody, barczysty robotnik. Taki to wiadomo, ma pieniądze i nie będzie opowiadał bzdur na randce. Nie ma po co tracić czasu ze studentem, gdy jest się młodą i pełną temperamentu kobietą.

Trzeba wszakże obiektywnie przyznać, iż atmosfera w sklepach była przyjazna. Ekspedientki tolerowały studenckie zaczepki, przekomarzały się zza lady, czasami trochę pokrzykiwały, lecz zawsze okazywały studentom dużo serca i rozumiały ich niedostatek, podczas gdy one tam, za ladą mogły najeść się do syta.

Podobała się i mnie ta atmosfera zakupów w naszym „gastronomie”. Kupowałem tutaj codziennie po 150 – 250 gramów pokrojonej kielbasy lub sera. Nie było jeszcze wtedy lodówek w domach studenckich, brało się więc wędlinę na jeden lub dwa posiłki. Zimą można było kupować więcej, bo nie zjedzoną część zakupu można było wystawić za okno, ale w ciepłe dni kupowało się akurat tyle, ile zamierzało się zjeść.

8.

Atmosfera w pokoju była przyjazna. Po jakimś czasie przyzwyczałem się już do ciasnoty, zresztą innego wyjścia nie było. Tylko bowiem ci, co mieli stwierdzone kłopoty zdrowotne, np. mieli gruźlicę, mieszkali w mniej załoczonych pomieszczeniach.

Łóżko oraz niecały metr przestrzeni przed nim to był mój „ciasny, ale własny kąt”. Mieszkając pod oknem byłem w tej dobrej sytuacji, że jeśli koledzy obsiadali stół i trudno było przecisnąć się do drzwi, to mogłem opuścić pokój przez okno, jak „pan Fredk Ziółko” (Adolf Dymśza) w filmie *Skarb*.

Żarty żartami, ale w tej, choć tak przyjaznej, atmosferze narasta nostalgia. Człowiek mimo wszystko czuje się jakiś inny, nietutejszy. (...) Nostalgia narasta tym bardziej, że zarówno w pokoju, jak i w grupie uczelnianej jestem jedynym Polakiem. Dobrze, że chociaż codziennie spotykam się z polskimi studentami z innych pokojów i grup uczelnianych. Na moim pierwszym roku studiów jest nas 10, a na roku drugim – aż 18. Tyle tylko, że każdy żyje w swoim świecie, zaabsorbowany swoimi sprawami, lecz od razu widać, iż każdego w mniejszym lub większym stopniu trapi „choroba sieroca”. Lepiej mają ci, co mieszkają po dwóch Polaków w pokoju.

Dobrze, że ktoś tam we władzach troszczy się o nas, byśmy nie utracili tożsamości narodowej. Otrzymujemy z kraju tygodniki: *Przekrój*, *Świat*, *Stolica*, *Film*. Wymieniamy je pomiędzy sobą po przeczytaniu. Są nawet ustalone harmonogramy obiegu tych czasopism. Ponadto w naszym Konsulacie można było wypożyczać książki w języku polskim. Był tam całkiem pokaźny księgozbiór ciekawych książek. W Konsulacie odbywają się także zebrania wszystkich studentów polskich, studiujących w Kijowie. Jak wspomniałem wyżej, plenarna organizacja naszych studentów nazywała się Ziomkostwo. Na zebraniach omawiane są sprawy związane z nauką, bytem codziennym, a także stosunki koleżeńskie. Jak to zwykle bywa w szerszym gronie, zawsze znajdują się zapaleńcy do wszelkiego rodzaju dyskusji. Zagrzewają oni, iż uczyć się należy aż do kompletnego wyczerpania. A ja tam wiedziałem swoje, już przecież miałem symptomy przemęczenia i dobrze wiedziałem, jakie są dopuszczalne granice mojej wytrzymałości, których nie należy przekraczać.

Byli wszakże i tacy, co to zbytnio wzięli sobie do serca głoszone przez nadgorliwców apele. Mniej odporni nadszarpnęli sobie zdrowie, mieli często stany podgorączkowe, a niektórzy byli zmuszeni wyjechać ze względu na zdrowotnych do kraju i tam kontynuować rozpoczęte studia, pod opieką rodziny.

(....)

9.

W połowie października jesień panoszyła się już na dobre. Na rabatach kwitną jeszcze wciąż jesienne kwiaty, ale lecą już z drzew żółte liście, robi się coraz smutniej i z dnia na dzień coraz chłodniej.

W Instytucie i w domach studenckich włączono centralne ogrzewanie. To stało się moim kolejnym utrapieniem i to jakże przykrym. Przesuszone powietrze działa na mnie wprost zabójczo. Do tej pory, tj. do 22 roku życia, mieszkalem tylko w pomieszczeniach ogrzewanych piecami kaflowymi. A tu teraz, w tym zatęchłym od nagranych lakierów i kurzu wysuszonym powietrzu, czuję się jakbym był podpieczony, jakbym miał spuchnięte wnętrzności, niekiedy mam wrażenie, że moje ciało po prostu się rozkłada na czynniki pierwsze.

W dodatku od okna ciągnie zimno. W tej sytuacji ciągle jestem przeziębiony i czuję, że mam podwyższoną temperaturę ciała. Nie mierzę jej jednak bojąc się, że oto dowiem się, iż jestem chory, a tu trzeba na bieżąco uczyć się i przygotowywać do zajęć praktycznych i laboratoryjnych.

Występują przykre objawy takiego rozparzonego stanu zdrowia. Często bez żadnego powodu zalewam się kroplistym potem. Najwyraźniej wysiadły w organizmie termoregulATORY, musiałem mieć też ku temu skłonności. I niestety nie ma na to rady, trzeba się po prostu przyzwycząć. Kiedyś musiały zaistnieć okoliczności dające temu początek. Lekarze już wcześniej mówili o jakichś zaburzeniach wegetatywnych i teraz to sztydło wyszło z worka w całej pełni.

A swoją drogą to przyrzekłem sobie solennie, że już nigdy, ale to nigdy, nie zgodzę się na łóżko przy kaloryferze, pod oknem.

Lecz do terkotania „kołchoźnika” to niestety trzeba się było przyzwyczaić. Nie można go było wyłączyć, bo koledzy z pokoju nie pozwalali. Miał grać, a mówiąc precyzyjniej, rzeźić. W audycjach pełno było komunikatów z kołchozów, sowchozów i fabryk, adresowanych bezpośrednio do Stalina, o wysokich przekroczeniach planowych zadań. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystko w tym wielkim kraju było własnością Stalina, jakby on tu był jedynym gospodarzem.

Nadawano także dużo muzyki poważnej. Koledzy z pokoju byli w tej muzyce tak osłuchani, że już po kilku taktach odgadywali tytuły wykonywanych utworów, nazwiska ich kompozytorów i wykonawców. Ja, niestety, przynajmniej przez kilka pierwszych tygodni nie brałem udziału w tych popisach, gdyż nie miałem żadnej wiedzy z zakresu muzyki poważnej.

Wydawało mi się, że lepiej znałem historię Europy i chętnie na ten temat wysuwałem zagadnienia do dyskusji, lecz zorientowałem się, iż koledzy, szczególnie gdy nie byli sami, dyskusji na tematy historyczne nie podejmowali. Szybko się także zorientowałem, że lepiej jest nie podejmować tematu o powiązaniach historycznych Ukrainy z Polską. Można było przysporzyć sobie jeśli już nie wrogów, to co najmniej niechętnych w gronie ludzi, z którymi przyszło obcować na co dzień.

Łatwiej natomiast było toczyć spory historyczne z Rosjanami. Ci bowiem, mając od stuleci zakodowane w sobie poczucie potęgi zamieszkałego przez swój naród terytorium, z pobłażaniem odnosili się do nacjonalistycznych nastrojów obywateli średnich i małych państw. Myśleli kategoriami globalnymi i chętnie porównywali swój kraj z Ameryką, mając oczywiście na myśli Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Krążyły nawet na ten temat anegdoty, niektóre zgoła jak na owe czasy nieprawomyślne, takie co to opowiada się tylko w cztery oczy.

Oficjalnie mówiło się o Ameryce jako o kraju, gdzie wyciska się pot z robotników w interesie bogaczy, gdzie prześladowani są Murzyni i gdzie szerzy się imperializm oraz ciągle dążenie do wojen. Ale w rozmowach prywatnych, takich co to w cztery oczy, można było spotkać się z opiniami zaskakującymi wręcz i aż dziw brał jak rodziły się takie nieprawomyślne poglądy w sytuacji, gdy tak łatwo można było znaleźć się, łagodnie mówiąc, na cenzurowanym.

Do mnie koledzy mieli najwidoczniej pełne zaufanie, oczywiście tylko w cztery oczy. Któregoś wczesnego popołudnia tak się złożyło, że w pokoju było tylko nas dwóch, Igor i ja. Igor popatrzył na mnie znacząco i prawie szeptem zaczął taki mniej więcej dyskurs:

- Józef, ty na pewno dziwisz się, że u nas wszędzie tak szaro i smutno. Ale to nie wina ludzi, to wina systemu, który zdolnym ludziom nie pozwala rozwinąć skrzydeł do woli.

Igor był przekonany, że w narodzie rosyjskim jest wielu zdolnych ludzi, że są geniusze. Opowiadał Igor, jak to w czasie wojny oglądał rozsyłane wówczas po Związku Radzieckim publikacje o Ameryce. Jakież to były piękne wydania, jakie wspaniałe kolory zdjęć, jaki wspaniały papier! Za to, że w Związku Radzieckim nie było takich publikacji, Igor winił system. Nie znałem się w owym czasie na jakości publikacji i dyskusji nie podjąłem. Być może byłem zbyt ostrożny, nie będąc do końca pewny, czy Igor nie próbuje mnie inwigilować? A poza tym to wobec natłoku spraw związanych z nauką nie miałem żadnej ochoty na dyskusje polityczne.

Wyraźnie natomiast odczuwałem brak oddanego przyjaciela i postanowiłem go znaleźć, zgodnie z rzymskim powiedzeniem, że szukać należy przyjaciół, bo bez przyjaciół życie jest smutne. Chciałem mieć kogoś, komu można by się zwierzyć z kłopotów, kogo można by się poradzić w chwilach zwątpienia. I los zesłał mi takiego przyjaciela, i to w najbardziej odpowiednim momencie, gdy czułem się naprawdę osamotniony.

Był w naszej grupie Wowa, który przyjechał na studia do Kijowa aż z tambowskiej obłasti. Wychowywał się tam w całkiem innym otoczeniu, pośród Wielkorusów i sprawy nacjonalizmu ukraińskiego prawie go nie interesowały. Miał bardzo przyjazne i niezwykle tolerancyjne usposobienie. Do nikogo nie żywił nienawiści. Nie interesowała go także wyższa polityka. Miał w sobie zakodowaną świadomość Wielkorusa o tym, że Rosja jest wielka i zawsze sobie poradzi w potrzebie. Tak było już od stuleci, kiedy to bliżsi lub dalsi sąsiedzi słabli po starciach z Rosją. Przekonali się, iż lepiej Rosji nie zaczepiać i nie wszczynać z nią draki. Zawsze miałem skłonności do wyolbrzymiania, a nawet dramatyzowania mniej pomyślnych dla mnie sytuacji i przejściowych kłopotów. Moja wybujała fantazja snuła zazwyczaj jakieś czarne scenariusze i z igły powstawały widły. W przemęczonej głowie kotłowało się od urojonych zmartwień. Wowa najwidoczniej dostrzegł te moje skłonności do samoudręki i najwyraźniej postanowił mi pomóc. To jego „Ничего, Юзик, не волнуйся”, ta jego otwarta, szczerą, uśmiechniętą twarz, to machnięcie ręki przy słowach „ерунда, чепуха” – rozładowywało stresy i rozjaśniało horyzonty.

Właśnie wtedy, kiedy zacząłem czuć się taki zagubiony w obcym środowisku, bardzo mi pomógł pozierać się ten wspaniały przyjaciel, o stoickim spojrzeniu na świat, zupełnie bezinteresowny Wowa. Przy nim poczułem się pewniej, znikło poczucie osamotnienia.

10.

A czas wciąż płynął. Miało się już dobrze na zimę. Któregoś ranka zrobiło się na świecie zupełnie biało, wszystko przykryła warstwa czystutkiego śniegu. I tak zaczęła się moja pierwsza zima w Kijowie.

Zbliżał się czas zaliczeń i egzaminów. Będzie to więc moja pierwsza sesja egzaminacyjna w Politechnice Kijowskiej. Koledzy z drugiego roku opowiadają anegdoty o kaprysach profesorów przyjmujących egzaminy, doradzają jak należy się zachowywać, żeby się niepotrzebnie nie narazić.

Poważniej twarze studentów, przycichli nawet najzagorzalsi żartownisie. Dostrzegłem, że i mój przyjaciel Wowa, dotąd zawsze tak zrównoważony, teraz zrobił się jakby trochę markotny. Zdaje on bowiem sobie sprawę z konieczności zdania wszystkich egzaminów na oceny co najmniej „хорошо”, gdyż inaczej nie otrzyma stypendium w następnym semestrze. Takie wtedy były zasady w radzieckim szkolnictwie wyższym. Stypendium otrzymywało się za dobre wyniki w nauce, niezależnie od sytuacji materialnej. Dla studentów spoza aglomeracji, gdzie znajdowała się uczelnia, nieotrzymanie stypendium oznaczało z reguły kilka miesięcy bytowania w trudnych warunkach materialnych. Większość z nich niewiele otrzymywała z domów rodzinnych, w których często brakowało poległych na wojnie ojców.

Otrzymywał natomiast stypendium student z nieźle sytuowanej rodziny w Kijowie (np. syn lub córka dyrektora), jeśli tylko zdał egzaminy na dobre oceny. Byłem tym zaskoczony, nie mieściło się to w moich pojęciach o zasadach socjalizmu – bo jakaż to sprawiedliwość społeczna? Byłem zdania, że taki bezwzględny system motywacyjny jest krzywdzący dla młodzieży wywodzącej się z gorzej sytuowanych grup społecznych, szczególnie zaś dla młodzieży ze wsi. Student przybyły z kołchozu już od dzieciństwa miał gorsze warunki do nauki niż jego rówieśnik z Kijowa, będący często oczkiem w głowie swoich rodziców. Taki to był ten stalinowski socjalizm!

Wszystko to mieli na względzie bardziej demokratycznie nastawieni profesorowie i „skazywali na głodówkę” tylko wyraźnie opornie nastawionych do nauki studentów. Bo jeśli ktoś systematycznie uczęszczał na wykłady i ćwiczenia, jeśli prowadził należycie notatki oraz systematycznie pracował w ciągu całego semestru, to był w stanie przygotować się w czasie kilku dni przed egzaminem tak, żeby uzyskać ocenę gwarantującą stypendium. A jeżeli mimo to nie powiodło się i nie było widoków na przetrwanie, to można było przenieść się na wydział górniczy, a tam stypendium przyznawano także za oceny dostateczne. A tak w ogóle, to jeśli się już chce studiować na politechnice z zamiarem uzyskania dyplomu inżyniera, to trzeba twardo pracować, a dobre oceny same przyjdą.

Mój przyjaciel Wowa mocny jest w naukach ścisłych i egzaminów z matematyki, czy fizyki nie obawia się. Natomiast trapi go bardzo egzamin z ekonomii politycznej. Twierdzi, że do tego przedmiotu nie ma żadnych predyspozycji, gorzej, bo nie potrafi nawet wykuć tego na przysłowiową blachę, jak to mu radzę. Ja także zdaję sobie sprawę z tego, że będę musiał solidnie się przyłożyć, żeby uzyskać dobre oceny i to ze wszystkich przedmiotów. Nie mogę przecież zawieść tych co mnie tutaj na studia skierowali, nie mogę też zawieść tak życzliwych wykładowców, no i przede wszystkim nie mogę zaważyć sesji i odpaść z dalszych studiów. Bo co wtedy dalej? W mojej sytuacji powtarzanie semestru, czy roku, w ogóle nie wchodzi w rachubę. A poza tym to ja jestem jedynym polskim studentem w grupie, więc także i względy ambicjonalne odgrywają niemałą rolę. Jako Polak nie mogę być gorszy od innych.

Znam siebie i wiem, że jeśli do nauki się przyłożę, to ją ugryzę. Mówi się, że na egzaminie wiele zależy od szczęścia. Ja wszakże wiem i to, że jeśli solidnie do egzaminu nie przygotuję się, to szczęście mi nie sprzyja.

Przed każdym egzaminem jest zawsze kilka dni na powtórzenie przerobionego w ciągu semestru materiału. Rozplanowuję więc sobie na każdy dzień powtórkę odpowiedniej ilości wykładów, a na ostatni dzień przed egzaminem powtórkę całości. Uczę się od wczesnego ranka do późnego wieczora. Noce przeznaczam w całości na sen, żeby nie osiągnąć stanu skołowacenia. Nigdy nie miałem na tyle wytrzymałości, żeby uczyć się lub pracować po nocach.

Wypraktykowałem, iż uczyć się mogę tylko do określonej granicy i gdy poczuję, że głowa robi się nasycona, przerywam naukę i wychodzę na spacer, żeby idąc przywoływać wyuczony materiał i poukładać go sobie w głowie, a później przez jakiś czas myśleć o niebieskich migdałach.

Spacerowało się w owym czasie po ulicach Kijowa z przyjemnością. Powietrze nie było jeszcze zatrute spalinami. Samochodów jeździło niewiele, głównie służbowe, a i te pod wieczór zjeżdżały do baz. W centrum miasta i na głównych arteriach komunikacyjnych podstawowym środkiem komunikacji miejskiej były trolejbusy. W tej sytuacji spacer głównymi ulicami miasta można było w pełni zaliczyć jako przebywanie na świeżym powietrzu.

A spacerów i świeżego powietrza potrzeba mi było bardzo. Męczyłem się bowiem okrutnie przy rozszyfrowywaniu swoich własnych notatek z wykładów, szczególnie z pierwszych dwóch miesięcy nauki. Na szczęście w bibliotece można było wypożyczyć praktycznie wszystkie potrzebne do nauki podręczniki. Nauka z podręcznika zajmowała znacznie więcej czasu, lecz nie miałem innego wyjścia.

Wszakże po kilku już dniach tej niewiarygodnej harówki nabieram pewności siebie oraz przekonania, że do egzaminów zdołam się w miarę dobrze przygotować. Właśnie pod presją zbliżającego się egzaminu głowa stała się jakby bardziej otwarta, posłuszna i chłonna. Mimo to w ostatnim dniu przed pierwszym egzaminem zaczynam się denerwować i gorączkowo wertuję notatki. Wydaje mi się, że ja właściwie nic nie umiem, że w głowie jest przerażająca pustka. Co to będzie?

Ale oto nadszedł dzień pierwszego mojego egzaminu w Politechnice Kijowskiej. Przed salą egzaminacyjną znajome grono studentów z mojej grupy. Na twarzach wyrazy skupienia i zaniepokojenia. Jak też wypadnie ten pierwszy egzamin na wyższej uczelni?

Na pierwszy ogień wchodzi ochotnicy, którzy czują się najpewniej ze zdawanego przedmiotu, a była to matematyka. Po upływie gdzieś może 10 minut w szeroko otwartych drzwiach pojawia się roześmiany Wowa. On ma już ten egzamin z głowy. I taki cykl powtarza się co kilka minut. Ci, co już zdali chętnie dzielą się wrażeniami, powstaje istna giełda bardzo przydatnych wiadomości. Można się tutaj wiele nauczyć.

Już prawie połowa grupy jest po egzaminie i jak dotąd wszyscy zdają na dobre oceny. Dojrzało i we mnie postanowienie, iż powinienem wejść i to właśnie teraz, co głośno wszem i wobec ogłaszam. Nikt nie oponuje. Tuż przed drzwiami dziwna pustka w głowie, wydaje mi się, że wszystko zapomniałem. Ale zwątpienie to trwa tylko przez chwilę, bo kiedy z wyłożonych na stole egzaminatora kartek z pytaniami wybieram jedną i patrzę w nią, to już po drodze do ławki trema mija. Teraz już wiem o co będę pytany i wiem, że znam odpowiedzi, przynajmniej na te pytania, które są na kartce, a to już dużo. Z pytaniami dodatkowymi też sobie jakoś poradzę.

Po kilku minutach namysłu pewnym już krokiem podchodzę do stołu egzaminatora i siadam na krześle obok. Czuję się całkowicie pewnie. Egzaminator pyta rzeczowo, nie wydziwia. Otrzymuję najwyższą notę. Ogarnia mnie błogie zadowolenie po tak udanym początku. Resztę tego udanego dnia przeznaczyłem na rozrywki, a był to samotny spacer na Kreszczatiku i kino.

Nazajutrz już od samego rana przystępuję do przygotowania się do następnego egzaminu. Będzie to egzamin z fizyki. Koledzy z drugiego roku studiów powiedzieli mi, że egzaminator z tego przedmiotu jest zagorzałym zwolennikiem przypisywania wszystkich odkryć technicznych rosyjskim uczonym, że należy być przygotowanym na pytania o nazwiska tych rzekomych wynalazców.

Przypomniałem sobie, jak to na wykładach z fizyki wykładowca z uniesieniem, godnym lepszej sprawy, dowodził, iż wynalazcą radia nie był żaden tam Włoch Marconi, lecz Rosjanin Popow oraz że Edison był producentem i kapitalistą, który przyswoił sobie wynalazek żarówki elektrycznej dokonany przez Rosjanina Łodygina. A już z Łomonosowem to żaden w świecie uczony równać się nie może. Na wykładach te tak oczywiste dla mnie bzdury puszczałem mimo uszu, nawet ich nie notowałem. Także większość studentów radzieckich pokpiwała sobie z tak zdecydowanie przesadnej rusyfikacji nauki. Głoszony w taki sposób szowinizm rosyjski nie podobał się studentom Politechniki Kijowskiej, gdzie narodowość rosyjska bynajmniej nie dominowała.

Na szczęście egzaminator nie pytał mnie o rosyjskich wynalazców, a za znajomość wykładowanego przedmiotu wpisał do indeksu najwyższą ocenę.

Niezwykle pracowita była ta moja pierwsza sesja egzaminacyjna na wyższej uczelni, ale wyniki dawały przecież satysfakcję. Nędznej trójczyny z żadnego przedmiotu nie złapałem. Nawet egzaminy z nauk społecznych poszły mi dobrze. Złapanie trójczyny nie byłoby ostatecznie tragedią, bo tak po prawdzie to zagraniczni studenci otrzymywali stypendia nawet wtedy, jeśli zdawali egzaminy tylko na oceny dostateczne. No bo i z czego mieliby się utrzymywać? Rodziny były za jakże dobrze strzeżoną granicą i pomóc nam w czasie naszego pobytu w Kijowie praktycznie nie mogły. Nie otrzymywaliśmy nawet świątecznych paczek. Waluty naszych krajów były niewymienialne dla zwykłych obywateli. Rozliczenia walutowe następowały na szczeblu rządowym. Zwykły obywatel nie mógł wymienić złotych na ruble i odwrotnie bez odpowiedniego upoważnienia na taką transakcję. Takie to były wówczas przepisy walutowe pomiędzy naszymi państwami. W tym zakresie odrębność gospodarcza i państwowa była nadzwyczaj wyraźnie zaakcentowana. Oceny dostateczne były wszakże źle widziane. Na zebraniach naszego Ziomkostwa omawiano wyniki sesji egzaminacyjnych, traktując je w kategoriach wykonawstwa planów produkcyjnych. Koledzy, którym przytrafiły się oceny dostateczne nakłaniani byli do poprawy tych ocen z pechowych dla nich przedmiotów. Na szczęście mnie to tym razem nie dotyczyło i mogłem w pełni cieszyć się wolnymi dniami ferii zimowych.

Ferie to czas niezwykle przyjemny dla studenta. Można będzie wysypiać się do woli i poleniuchować, słowem spędzać czas według własnego upodobania. Ot takie po prostu „dolce far niente” (słodkie nic nierobienie). Po tak trudnej sesji egzaminacyjnej byłem całkowicie przekonany, że odpoczynek mi się należy.

11.

W czasie ferii zimowych domy studenckie prawie opustoszały. Pozostali praktycznie tylko studenci zagraniczni: Bułgarzy, Czesi, Węgrzy, no i my Polacy. Są jeszcze Chińczycy, ale kto tam z nimi się dogada. Podziwiałem ich wytrwałość, gdy zwykle od wczesnego już ranka, niby mnisi w swej ciemnej odzieży, snuli się ze słownikami w rękę w alejach parku przed Instytutem i na stadionie. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić sytuacji, gdyby to mnie tak przyszło studiować na politechnice w Chinach. Na pewno bym nigdy na takie samobójstwo nie wyraził zgody.

Poza Chińczykami grupę, najbardziej wyrazistą swoją odrębnością, tworzyli Rumuni. Było ich stosunkowo dużo. Często zbierali się na portierni, w pobliżu telefonu i o czymś niezwykle zawzięcie i głośno dyskutowali. Oczywiście w swoim ojczystym języku. Obcość tego języka czemuś to drażniła jedną z portierek, będącą w starszym już wieku, która donośnym, prawie nakazowym głosem zwracała się o ucieszenie tych hałaśliwych dyskusji. Przycichali, ale tylko na chwilę. Po prostu nie potrafili uporać się z wrodzonym sobie, południowym temperamentem. Trzeba przyznać, że większość z nich to byli chłopcy przystojni. Cieszyli się powodzeniem u dziewcząt i korzystali z tego. Zapewne dlatego młodsza z portierek lubiła, gdy znajdowali się obok jej stanowiska pracy i przymilnie do nich szczerzyła ząbki.

Na początku moich czasów studenckich w Kijowie nie chodziło się do kawiarni z tej prostej przyczyny, że kawiarni, takich jak my je znamy, w Kijowie w owym czasie jeszcze nie było. Restauracje, owszem, były, nawet z dansingami, lecz studenci z pierwszego roku praktycznie tam nie chodzili. A jeśli już znalazł się odważny, i mimo wszystko poszedł na dansing, to potem na zebraniach oficjalnie podawano, że taki to a taki włóczy się po restauracjach. A gdyby tak otrzymywał przy tym słabsze noty na egzaminach, to wtedy musiałby się gęsto tłumaczyć i to zarówno w wąskim, jak i szerokim gronie. W latach późniejszych zmieniło się to zdecydowanie.

Bardzo popularne było w owym czasie chodzenie do kina. Najwięcej oczywiście wyświetlano filmów radzieckich, lecz sporo też było filmów włoskich i francuskich. Były także filmy amerykańskie. Rekordy frekwencji bił wtedy amerykański film *Tarzan*. Ja, podobnie jak większość moich rówieśników w owym czasie, lubiłem kino. Do niektórych kin wchodziło się jak do pałaców. Były to okazałe budynki z bogato zdobionymi fasadami. Nastrojowa atmosfera panowała w poczekalniach. Ludzie przyglądali się sobie nawzajem z zaciekawieniem, niekiedy spotykało się znajomych. (...)

Mówiąc o rozrywkach kulturalnych wspomnieć należy, że chodziło się także do teatru lub do opery. Często były to zorganizowane wycieczki, dla całej grupy uczelnianej. Natomiast jeśli chodzi o telewizję, to chociaż Kijowskie Centrum Telewizyjne zostało oficjalnie otwarte już 7 listopada 1951 roku, to jednak na oglądanie jego programów w domach studenckich trzeba było jeszcze długo poczekać.

Dużo wolnego czasu spędzałem na czytaniu książek. Polska książka była zawsze dla mnie najlepszym przyjacielem. Jak wspomniałem już wyżej, książki w języku polskim wypożyczało się w naszym Konsulacie. Był tam całkiem pokaźny księgozbiór klasyków literatury polskiej. Często tam bywałem. Na obczyźnie dobra polska książka przywraca poczucie własnej godności narodowej, uodparnia na wszelkie przeciwności życia codziennego; człowiek nie czuje się już taki zagubiony w środowisku o obcych obyczajach.

Dla podniesienia poziomu znajomości języka rosyjskiego próbowałem czytać w oryginale książki pisarzy rosyjskich, ale czemuś to nigdy nie nabrałem do tego przekonania. Co innego literatura specjalistyczna, podręczniki do nauki. Tutaj po prostu nie było wyboru i trzeba było korzystać z książek w języku rosyjskim.

12.

Bardzo dobrze się złożyło, że podczas ferii zimowych zorganizowano dla nas wycieczkę po Kijowie i to z przewodnikiem. Zwiedziliśmy miejsca związane z dawną historią miasta oraz pomniki nowszych już czasów. Powinno się przecież mieć szersze wiadomości o mieście, w którym się mieszka, żeby umieć nań patrzeć, zarówno na co dzień, jak i od święta.

I tak dowiedziałem się, że pierwsze pisane wiadomości o Kijowie pochodzą z VIII wieku, z kroniki ormiańskiej. Nestor w swojej kronice podał, że już w VI – VII wieku nad brzegami środkowego Dniepru, z głównym ośrodkiem w Kijowie, istniało księstwo związku plemiennego Polan. Należy zaznaczyć, że jakoby nie udowodniono pokrewieństwa plemion Polan nad Dnieprem i nad Wartą.

Pierwsze świadectwa dotyczące chrześcijaństwa Rusów odnoszą się do lat 860 – 870. W wieku X w Kijowie istniała już cerkiew św. Ilii (Eliasa), chrześcijańskiego odpowiednika Peruna. Około 988 roku książę Włodzimierz przyjął chrzest wraz ze swymi bojarami i pod groźbą kar zmusił do przyjęcia chrztu kijowian oraz wszystkich poddanych. Wiarę chrześcijańską przyjął z Bizancjum. Ojciec Włodzimierza był zapamiętałym poganinem, mimo że jego matka, a więc babka Włodzimierza, była już chrześcijanką.

Po wprowadzeniu chrześcijaństwa wygasły na Rusi stopy pogrzebowe, na których palono zabijane niewolnice, po śmierci tych, którym za życia służyły. Prawosławna wiara chrześcijańska sięgnęła daleko na zachód i zróżnicowała narody słowiańskie.

Kiedy przewodnik zaprowadził nas do Złotej Bramy, obudziły się moje ciągoty do rozpamiętywania dawnych wydarzeń historycznych. Złota Brama w Kijowie znana mi była dobrze z nauki historii Polski. Według pisanej po łacinie historii niemieckiego kronikarza Thietmara to tędy miał wjechać do Kijowa w 1018 roku polski król Bolesław Chrobry ze swoimi wojami, ażeby pomóc spokrewnionemu przez żonę Światopełkowi w odzyskaniu władzy w Kijowie. Thietmar o ówczesnym Kijowie pisał jako o wielkim i ludnym grodzie, gdzie jakoby znajdowało się ponad 400 świątyń i 8 placów targowych. Pamiętam z nauki historii, że Chrobry uderzył mieczem o bramę i że miecz ten się wyszczerbił. Szczerbiec stał się jednym z symboli narodowych w naszej historii. Kiedy wspomniałem przewodnikowi o tym fakcie, odpowiedział, że w 1018 roku bramy tej jeszcze nie było, gdyż zbudowana została w 1037 roku przez Jarosława Mądrego. Nie była to odpowiednia pora na rozstrząsanie tak poważnych sporów historycznych. Ja wszakże pozostałem przy swoim, co też głośno oznajmiłem.

Po odejściu Polaków z Kijowa na stolcu książęcym znów zasiadł Jarosław Mądry. Wydawał on ogromne sumy na upiększenie swojej stolicy. Zbudowano wówczas, sławny do dziś, zabytkowy sobór św. Zofii. Zmarł Jarosław w 1054 roku, przeżywszy 76 lat. W soborze św. Zofii umieszczono na murze inskrypcję „o zaśnięciu naszego cara”.

W połowie XI wieku założona została Pieczerska Ławra (Pieczerski Klasztor), która stała się znakomitą akademią duchowną. Kijów nazywano w owym czasie ozdobą Wschodu i rywalem Konstantynopola. Za Jarosława Mądrego przełożono wiele ksiąg z języka greckiego na ruski i licznie je przepisywano. W owym czasie nie było jeszcze ksiąg w językach ojczystych w sąsiednich krajach słowiańskich.

O dziejach owych czasów najwięcej dowiadujemy się z Latopisu Nestora, nadwornego kronikarza Światopełka. Nestor był mnichem w Pieczerskiej Ławrze. W katakumbach tego klasztoru można oglądać zwłoki mnichów pochowanych w pierwszej połowie drugiego tysiąclecia. Mikroklimat w katakumbach okazał się wyjątkowo sprzyjający naturalnej dehydracji zwłok – samoistnego wyschnięcia ciał w zamkniętych celkach grobowych.

Przewodnik zaprowadził nas także pod znajdujący się na wysokim wzgórzu pomnik księcia Włodzimierza, postawiony tu w 1853 roku. Odtąd patron Kijowa Włodzimierz, dzierżący w ręku wielki krzyż, ustawiony na wysokim cokole, spogląda na Dniepr i okolicę. A widok stąd jest nadzwyczaj piękny: las białych wież i złocistych kopuł unoszący się ponad gęstwinę drzew, porastających zbocza wysokich wzgórz, które wznoszą się ponad błękitną wstęgę Dniepru. Rozciąga się stąd szeroka panorama na lewobrzeżną równinę zadnieprzańską. Widać rzekę, plażę, zarośla, a dalej aż po horyzont rozciąga się bezkresny zdawałoby się step. Pomyślałem sobie, iż hen, tam w stepie są kurhany, ponad którymi wieje suchy stepowy wiatr. Są to mogiły wodzów plemiennych i królów Scytów, zamieszkujących tę ziemię na wiele wieków przed naszą erą.

Ogarnęła mnie głęboka zaduma nad dawną przeszłością tej ziemi. Tak tu jest nastrojowo przy tym pomniku Włodzimierza! Ale przewodnik chce nam jeszcze pokazać także i inne ciekawe miejsca, a dzień zimowy jest taki krótki.

Rozwój Rusi Kijowskiej został przerwany przez Tatarów, którzy podbili te ziemie w 1240 roku. Później ziemie te od roku 1362 wchodziły w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego, a od 1569 losy Kijowa przez 85 lat były blisko związane z Polską.

Walki społeczno-narodowe narodu ukraińskiego były uciążliwe dla obu stron. Przewodnik zaprowadził nas właśnie pod pomnik Bogdana Chmielnickiego, głównego przywódcy powstania, po którym w 1654 roku Kijów i lewobrzeżna Ukraina zostały przyłączone do Rosji. Duży wpływ na to miały różnice w obrzędach wiary prawosławnej i rzymskokatolickiej.

Pomnik Chmielnickiego, wystawiony w latach 1869 – 1888, usytuowany jest na placu Chmielnickiego, w pobliżu soboru św. Zofii. Na spiętym w galopie koniu znajduje się krępa postać jeźdźca z buławą w wyciągniętej prawej ręce, wskazującej na Moskwę. Pomnik jest ustawiony na wysokim, kamiennym postumencie. (...) Opowiedział nam też przewodnik o losach Kijowa w czasie II wojny światowej. Niemcy podeszli pod Kijów już w czerwcu 1941 roku. Armia Czerwona poniosła pod Kijowem największą swoją porażkę w 1941 roku. Zginęło ponad pół miliona żołnierzy i oficerów. Dowódca zgrupowania Kirponos zginął, walcząc wraz ze swoim sztabem w okrażeńiu. Wojska niemieckie wkroczyły do Kijowa we wrześniu 1941 roku. W ciągu 782 dni okupacji Niemcy wymordowali ponad 220 tysięcy mieszkańców tego miasta. Już w pierwszych tygodniach po wejściu do Kijowa Niemcy rozstrzelali w Babim Jarze ponad 80 tysięcy mieszkańców pochodzenia żydowskiego.

Kijów został wyzwolony 6 listopada 1943 roku. Miasto było w dużym stopniu zniszczone, szczególnie w części centralnej. Toteż teraz właśnie tutaj był największy plac budowy.

Nastał wieczór, byliśmy już zmęczeni, przydałby się jakiś, choćby mały odpoczynek. Dostrzegł to najwyraźniej przewodnik i pocieszył nas, że właśnie idziemy do planetarium i tam będzie można usiąść. No i dobrze się składa, że niebo jest gwiazdziste, to sobie te gwiazdy pooglądamy przez lunetę.

Zaskoczyło mnie, że pracownik planetarium w swojej wstępnej prelekcji mówił o Koperniku, jako o słowiańskim uczonym, jakby pomijając fakt, że był Polakiem. Zresztą nie tylko ja byłem tym poruszony, zareagowali wszyscy uczestnicy, mówiąc prawie chórem, że Mikołaj Kopernik był polskim uczonym. Nie było to fair ze strony pracownika, który wiedząc, że oprowadza Polaków, świadomie, a może i złośliwie, uraził ich dumę narodową.

A tak suma-sumarum to wycieczka bardzo się przydała. Sporo się człowiek dowiedział o Kijowie. Innym okiem spojrzę teraz na to miasto, które stało się miastem mojej młodości. Będę tutaj przecież mieszkał jeszcze cztery i pół roku.

13.

Dobiegła końca zimowa przerwa semestralna. Znowu wypełnia się dom studencki. Przyjechali współlokatorzy z pokoju. Z rodzinnych domów przywieźli zapasy żywności, często upominki od swoich bliskich. Trochę im nawet zazdrościć tych domowych gościńców, bo mnie tutaj nikt nic nie podaruje ani nie przyśle. A była przecież gwiazdka. W rodzinnym domu na pewno jakiś upominek bym od ojca dostał.

Jako ostatni w pokoju zjawił się Genadij, nasz pokojowy żartowniś. Zajmująco opowiadał o przygodach w podróży. Jechał „zajcem” (na zająca) pociągami towarowymi, tj. na gapę, bez biletu. Za zaoszczędzone pieniądze zamierza kupować sobie „ливерную колбасу” (kiszka wątrobianą), której przydano honorową nazwę „студенческая колбаса”. Tani to był gatunek wędliny, ale też i podły. Gdzie jej tam było do naszej polskiej pasztetówki! Szkoda, że kaszanki, podobnej do naszej, nie mogłem kupić w Kijowie. Tę, którą robił mój ojciec, przekładałem ponad inne wyroby.

Swojsko poczułem się pośród studenckiej braci w podwojach Instytutu. Znow zaczęły się wypełnione nauką dni, tygodnie i miesiące. Na korytarzach już w pierwszym dniu nauki pojawiły się ruchome kioski z pierożkami nadziewanymi mięsem lub powidłami. Nawet smakują mi te pierożki, często jeszcze ciepłe, ociekające olejem słonecznikowym. Znajdowały one wielu nabywców. Były dość duże. Dwoma pierożkami można było zaspokoić doraźny głód.

W pierwszych dniach nauki w nowym semestrze, gdy głowa nie była jeszcze skołowana i nie ciążyła do ziemi, zacząłem ze zdumieniem dostrzegać, iż główny gmach naszego Instytutu ma ciekawą ornamentykę. Bogato zdobione są portale, sufity, a nawet balustrada przy głównych schodach. Także fasada zewnętrzna budynku została ciekawie i harmonijnie ozdobiona. Być może ta wrażliwość na piękno pobudzona została podczas zwiedzania zabytków miasta i teraz przywołuje refleksje już w codziennym życiu. Z upodobaniem poddaję się takim nastrojom, jakby podświadomie wyczuwając potrzebę wyrobienia w sobie wrażliwości na piękno artystyczne.

Tak po prawdzie to gmach naszego Instytutu żadnym osobliwym, jednorodnym stylem się nie wyróżnia. Zbudowany został w 1898 roku i jak większość gmachów państwowych z tego okresu ma architekturę eklektyczną, mieszaninę różnych stylów. Dominującymi są elementy stylu romańskiego.

Po kilku tygodniach zajęć mózg mój znow był zaabsorbowany bez reszty trawieniem wzorów matematycznych i pojęć fizykalnych. Teraz, z perspektywy lat, można z całą pewnością stwierdzić, iż w tamtych latach w Politechnice Kijowskiej poziom nauczania przedmiotów podstawowych był wysoki. Gruntowna wiedza podstawowa kształtowała umysły i kładła solidne fundamenty pod przyszłą działalność inżynierską. Wiedza specjalistyczna ulega ciągłemu rozwojowi i trzeba ją uzupełniać na bieżąco, podczas pracy w danym zawodzie. Łatwiej to wszakże przychodzi, gdy się ma ku temu solidną bazę.

Niestety, ku mojemu utrapieniu do tych podstawowych przedmiotów należała także chemia. Przedmiot ten, można by powiedzieć, był na ogół nie lubiany przez większość studentów. Nie zamierzałem zostać chemikiem; ale jeśli ten przedmiot jest w programie nauczania i to w dużym wymiarze godzin, to nie sposób go obejść i chcąc nie chcąc trza się będzie do niego przyłożyć i to w ciągu całego semestru, żeby nie było na wiosnę kłopotów z egzaminem. A niektórzy koledzy z drugiego roku o egzaminie z chemii mówili w sposób budzący strach, wręcz grozę.

Wykłady i zajęcia laboratoryjne z chemii odbywają się w oddzielnym budynku, nazywanym „chimkorpus”. Asystentkom z katedry tego przedmiotu studenci nadali niesympatyczne przydomki. Weszły one do żargonu studenckiego i są przekazywane z roku na rok. Te niskiego wzrostu, zawsze niezmiernie poważne, a jeśli już uśmiechnięte, to zawsze złośliwie, znawczynie żrących kwasów i zasad nie potrafiły na ogół rozbudzić entuzjazmu do nauki swojego przedmiotu. Dobrze chociaż, że wykłady z chemii prowadzone były przez profesora o dużej wiedzy i dużym wyczuciu dydaktyki. Słuchało się ich z zaciekawieniem. A swoją drogą to chemia na tej uczelni ma swoje tradycje. Wykładał tutaj sam Mendelejew.

14.

Koniecznien, ale to koniecznien muszę podciągnąć się z gramatyki języka rosyjskiego. Zdaję sobie bowiem sprawę z tego, że przebywając pośród ludzi wykształconych powinienem poprawnie wyrażać się, a i w tekstach pisanych należałoby unikać błędów.

Możliwość taka istnieje. Dla studentów zagranicznych prowadzony jest lektorat języka rosyjskiego i to w całkiem okazałym wymiarze godzin. Jest to dla nas język obcy o skomplikowanej gramatyce. Nauce tego języka trzeba poświęcać dużo czasu i wysiłku. Dobrze, że nie mamy obowiązku nauki innych języków obcych, obowiązkowych dla studentów radzieckich. Mają oni do wyboru język angielski lub niemiecki.

Jako obcokrajowcy nie mamy także obowiązku brania udziału w zajęciach przysposobienia wojskowego. (..).

To raczej retoryczne i bynajmniej nie zamierzone oświadczenie o pacyfizmie spowodowało, że z armią miałem spokój po wsze czasy. Musiało to zostać zapisane w jakichś ważnych dokumentach. Kiedy po studiach wróciłem do kraju, dano mi tylko stopień szeregowego i na żadne ćwiczenia wojskowe nie byłem nigdy powoływany. Koledzy, i to nawet ci, co nie uczęszczali na zajęcia wojskowe, otrzymywali stopnie podoficerskie, byli powoływani na okresowe ćwiczenia wojskowe i dostawali awanse. A ja nic. Zawsze byłem szeregowym.

Obowiązkowe były natomiast zajęcia z wychowania fizycznego. W Instytucie znajdowała się olbrzymia sala sportowa wyposażona w przyrządy, w większości dotąd mi nie znane. Ćwiczenia na tych przyrządach to było moje nowe utrapienie. Nie miałem w tym żadnego doświadczenia, a chyba także i predyspozycji. W stosunku do mojej masy ciała miałem za słabe ręce. Ponadto pseudomedyczne pomiary wykazały, że miałem zdecydowanie za grubą warstwę tłuszczu pod skórą, szczególnie na brzuchu. Niezły za to byłem w biegach i grach zespołowych z piłką. Potrafiłem także stawać na głowie, co mi pozostało po dawnych treningach w sekcji bokserskiej. Dobrze także wypadłem w biegach narciarskich na dystansie 10 km. Biegaliśmy po alejkach parku przy Instytucie. Tak więc suma-sumarum przedmiot ten zaliczyłem. Spośród studentów polskich rekrutowali się rekordziści. Stanisław M. ustanowił rekord Instytutu w dziesięcioboju, który przez wiele lat figurował na tablicy rekordów studenckich Instytutu.

Wróćmy wszakże do nauki. Otóż katedra spawalnictwa, chcąc najwidoczniej zainteresować tą dziedziną techniki swoich adeptów i to już na początku studiów, organizowała spotkania z wykładowcami. Prowadzone były także pokazowe doświadczenia naukowe w laboratoriach. Uczestniczyła w tym cała moja grupa uczelniana. Pokazywano działanie automatycznych aparatów spawalniczych, zapoznawano z osiągnięciami uczonych wywodzących się z tej katedry. Najbardziej wybitnym był akademik Eugeniusz Paton. Podczas wojny zasłużył się przy opracowaniu i wdrożeniu metody automatycznego, elektrycznego spawania płyt pancernych, co w dużym stopniu przyczyniło się do przyspieszenia produkcji broni pancerniej. Nagrodzony został najwyższymi odznaczeniami i nagrodami państwowymi. Imieniem akademika E. Patona nazwano most na Dnieprze o całkowicie spawanej konstrukcji, oddany do użytku w 1953 roku. Most ten ma 1543 metry długości i budowany był pod nadzorem E. Patona.

Wszystko to jest ciekawe i zachęcające, tylko że po każdym dłuższym pobycie w zadymionym spalinami laboratorium boli mnie głowa i jest mi po prostu niedobrze. Stwierdzam, że ja do pracy w takich warunkach najwyraźniej się nie nadaję. Wychowany na czystych terenach północnego Mazowsza źle znoszę opary chemiczne i spaliny. Nie wyobrażam sobie, żeby w przyszłości przyszło mi pracować w tak silnie skażonej atmosferze i czuć się ciągle podduszonym. Postanowiłem więc poczynić zdecydowane starania o przeniesienie mnie na wydział elektryczny i to za wszelką cenę, nawet za cenę wyjazdu do kraju. Chcę budować maszyny elektryczne, a nie dusić się w spawalniczych smrodach.

15.

Sroga była zima tego roku w Kijowie. Długo trzymały tęgie mrozy, spadło dużo śniegu. Monotonnie upływały dni studenta pierwszego roku KPI – rano golenie się, jakże tępyimi żyletkami „newa”, toaleta, kilka wymachów ramion, że to niby gimnastyka, śniadanie i krótki spacer przez park po drodze do Instytutu. Po wykładach całkiem solidny obiad w stołówce studenckiej, skromne zakupy w „gastronomii” na rogu ulicy i powrót do ciasnego pokoju. Po krótkim odpoczynku przygotowanie zadań na dzień następny i sen. Czasem kino i spacer po Kreszczatiku, wtedy jeszcze samotnie lub z kolegą.

Zauważyłem, że wszyscy tutaj traktują swoje obowiązki bardzo serio. Widoczny jest pośpiech i zdecydowanie w działaniu. Wyczuwa się to wszędzie, nawet na ulicach. Większość przechodniów dokądś to zdąży w pośpiechu, jest czymś bardzo zaafetowana.

Na szczęście przyroda nie uznaje przymusu ani nakazów i rządzi się swoimi prawami. I tak, pośród szarzyzny codziennego życia, powoli budzi się wiosna. Zima wszak, jakby nie dając za wygraną, wciąż jeszcze prósz mokrym śniegiem. Gdy jednak zaświeci słońce, śnieg szybko znika, a tu i ówdzie zielenią się już kępki świeżutkiej, soczystej trawy, zakwitają nieśmiało pierwsze kwiatuszki, a z nabrzmiałych pąków wyłaniają się delikatne seledynowe listki. Z dnia na dzień tej wiosny przybywa. No i cóż ty zrobisz? Od czasu do czasu, jakby mimo woli, zaświta w zatroskanej głowie studenta jakieś marzenie, jakaś myśl frywolna. To także są prawa wiosny!

16.

(...)

Dzień 1 maja był słoneczny i ciepły. Panował nastrój uroczysty, wręcz podniosły. W alei parkowej, tuż przed gmachem Instytutu, sformowały się wydziałami kolumny pochodu. W lekkiej świątecznej odzieży barwnie wyglądała na co dzień tak szara brać studencka.

Koledzy ze starszych lat studiów paradują z przewieszonymi przez ramię aparatami fotograficznymi i od czasu do czasu pstrykają zdjęcia na pamiątkę. Bo przecież tych pamiątek z lat młodości nigdy nie jest za wiele. Szkoda, że o to wtedy nie zatroszczyłem się.

Ruszył pochód. Idziemy udekorowanymi ulicami Kijowa do centrum miasta. To dobre kilka kilometrów drogi, ale wiosną bardzo wskazany jest taki długi spacer dla uczącej się młodzieży, przysiadającej fałdy spodni i spódnic. Maszerowało się całkiem przyjemnie, było wesoło pośród grona znajomych koleżanek i kolegów. Po przejściu przed trybuną na Kreszczatiku można było zatrzymać się na szerokim chodniku i popatrzeć na maszerujące kolumny z innych uczelni, czy zakładów pracy. Trzeba przyznać, iż pochód pierwszomajowy był bardzo strojny i warto było nań popatrzeć.

Po południu mieszkańcy miasta spotykali się zwyczajowo na składkowych prywatkach. My także w gronie kolegów postanowiliśmy wspólnie spędzić popołudnie przy butelkach z rozweselającymi napojami. Najwidoczniej żaden z nas nie miał żadnego doświadczenia w doborze trunków i zakąsek. I tak kupiliśmy po butelce likieru, wina i koniaku oraz słodczyce i tort. Taki, całkowicie nie męski zestaw trunków pitych dużymi haustami ze szklanek i słodkie, lepkie, duże porcje tortu zamąciły nie tylko w głowie, ale i w organach trawienia.

Trzeba było odcierpieć to niemądre łakomstwo i chęć uraczenia się drogimi napojami. Dobrze się złożyło, że ucztowaliśmy w parku, nieopodal domu studenckiego i człowiek się jakoś dowlóknął na swoje wyrko. Koledzy z pokoju odratowali denata dużą ilością mocnej herbaty, a rano doradzili, że jeśli już przychodzi pić duże ilości alkoholu, to nie należy mieszać gatunków, i że najlepiej jest pić tylko czyściochę. Niektórzy z nich przeszli przez długie ścieżki wojenne i z niejednej gorzelnii pili spirytus, znali życie. Posłuchałem przyjaznych rad starych wyjadaczy, lecz w duchu postanowiłem sobie, że ja będę w ogóle unikał okazji picia dużej ilości alkoholu. W tym czasie nie paliłem jeszcze papierosów. Byłem zatem, jak to się mówi, porządny chłopcem.

17.

W połowie maja wiosna w Kijowie ukazuje całą swoją krasę. Fascynują obsypane białym i różowym kwieciem drzewa kasztanowców, mieniają się kolorami w słońcu duże rabaty tulipanów.

Ale czy student I roku politechniki ma prawo poddawać się na wiosnę sentymentalnym nastrojom i rozklejać się w marzeniach? Ależ gdzież tam! Jego sposób myślenia kształtują precyzyjne reguły nauk ścisłych i troski dnia codziennego. Bo oto zaczynają się zaliczenia z ćwiczeń i ani się człowiek spostrzeże, gdy nadchodzi czas egzaminów. Pora więc zabierać się do powtórki przerobionego materiału – jest to najlepszy sposób na jego utrwalenie. I znów powoli następuje ten przykry stan nadmiernego przeciążenia głowy, stan zubożenia na wszelkie pokusy natury i na ciągoty do uciech.

(...)

Najtrudniej jest rozgryzać wzory i reguły matematyczne w niewietrzonym pokoju domu studenckiego, gdzie wciąż krzątają się zajęci swoimi sprawami współlokatorzy, przyzwyczajeni do głośnych rozmów.

W pierwszej kolejności należy uporać się z zaliczeniami. Studentom, którzy systematycznie pracowali w ciągu semestru i osiągnęli dobre wyniki, prowadzący ćwiczenia wykładowcy wpisywali do indeksów zaliczenia bez zadawania dodatkowych pytań. W taki to honorowy sposób zaliczyłem matematykę. Dobry to był omen przed egzaminem z tego przedmiotu.

Przystępując do egzaminów drugiej sesji nie byłem już taki spięty i ciężko przerażony, jak to miało miejsce przed pierwszymi egzaminami w Instytucie. Mam teraz już pewne doświadczenie, można

powiedzieć nawet wypracowany system w przygotowywaniu się do egzaminów, a także w ich zdawaniu. Znacznie też lepiej znam język rosyjski i przy studiowaniu podręczników nie męczę się już tak szybko.

Przekonałem się już także, że profesorowie i wykładowcy są z reguły życzliwie nastawieni do studentów, zachowując oczywiście pryncypialność przy ocenie wiedzy. Nie ma wszakże złośliwego naigrywania się nad drżącym przed niską oceną studentem. Panowała rzeczowa atmosfera.

Przyjęte były zwyczajowe formy zwracania się profesorów do studentów i odwrotnie. Profesorowie i wykładowcy przed nazwiskiem studenta dodawali zwrot „товарищ”, a studenci zwracali się do przełożonych, podając ich imię i „отчество” (imię ojca w formie przymiotnikowej). Taki sposób zwracania się świadczył o okazywanym szacunku dla starszego wiekiem, czy stanowiskiem rozmówcy. A imię i „отчество” ludzi, do których przychodziło się zwracać, wypadało znać. Nigdy nie słyszałem, żeby student używał zwrotu „товарищ профессор”.

Pierwszy egzamin w sesji wiosennej wypadł z chemii. Nawet byłem z tego zadowolony, bo jeśli już zdawać egzamin z chemii, a zdać przecież musowo, to najlepiej byłoby zdać go na samym początku sesji, gdy ma się większy zapas sił i cierpliwości do nauki. A egzamin ten uważany był powszechnie za trudny. W każdym razie, czy się tę chemię lubi, czy też nie, to i tak egzamin trzeba zdać. Przegryzłem się zapamiętałe i z samozaparciem przez opasły, dużego formatu podręcznik w czarnych okładkach, autorstwa Glinki. W nocy przed egzaminem miałem przyjemny sen, co zazwyczaj jest u mnie zapowiedzią pomyślnego dnia. To tajemnicze przeczucie spełniło się i tym razem. Na egzaminie z chemii otrzymałem najwyższą ocenę. Jakże ja byłem szczęśliwy! Przechwalałem się tą oceną przed polskimi kolegami z drugiego roku, szczególnie przed tymi, co najbardziej mnie straszili. Oni to mieli już dawno za sobą, ale przecież zdawali sobie sprawę z tego, ile to wysiłku musiałem włożyć, żeby „wyrpać tę chemię na blachę”, na tak wysoką notę. Gratulowali mi z uznaniem. A ja raz jeszcze przekonałem się, iż „chcieć to móc”, no i także o tym, że przyjemne sny miewam przed egzaminem, do którego jestem dobrze przygotowany.

Najwyższe noty uzyskałem także z następnych trzech egzaminów. Tylko z rysunku technicznego dostałem czwórkę i na to nie było żadnej rady. Niestety, nie mam żadnego daru do odręcznego szkicowania, a już całkowicie źle jest z charakterem pisma.

Moja średnia ocen w tej sesji wyniosła 4,8 i wiedziałem już na pewno, że nie będę musiał się tłumaczyć na zebraniu Ziomkostwa z wyników w nauce.

18.

I tak oto pierwszy rok studiów na Politechnice, uznawany za najtrudniejszy, miałem już za sobą. Zasłużenie będę mógł cieszyć się wakacyjnymi uciechami. Szkoda tylko, że wakacje na uczelniach radzieckich były krótsze niż w Polsce i trwały praktycznie tylko dwa miesiące. Egzaminy na pierwszych dwóch latach studiów ciągnęły się prawie do końca czerwca, a rok akademicki zaczynał się już pierwszego września.

Na wakacje wyjeżdżam do Polski. Czekałem na to z utęsknieniem, od dłuższego już czasu, i chociaż brzmi to może i patetycznie, lecz nie było w tym żadnej przesady. Bardzo chciałem i to jak najszybciej zobaczyć swój kraj rodzinny i swoich bliskich. W środowisko kijowskie to ja wtedy jeszcze nie wrosłem na dobre i wciąż czułem dziedziną techniki swoich adeptów i to już na początku studiów, organizowała spotkania z wykładowcami. Prowadzone były także pokazowe doświadczenia naukowe w laboratoriach. Uczestniczyła w tym cała moja grupa uczelniana. Pokazywano działanie automatycznych aparatów spawalniczych, zapoznawano z osiągnięciami uczonych wywodzących się z tej katedry. Najbardziej wybitnym był akademik Eugeniusz Paton. Podczas wojny zasłużył się przy opracowaniu i wdrożeniu metody automatycznego, elektrycznego spawania płyt pancernych, co w dużym stopniu przyczyniło się do przyspieszenia produkcji broni pancernej.

(...)

Od dawna już czyniłem przygotowania do wyjazdu. Zaplanowałem zakupy rzeczy przeznaczonych na upominki dla rodziny. W ciągu roku coś się tam przecież zaoszczędziło i można się teraz szarpnąć w zakupach. Na jedzeniu nie oszczędzałem, nawet sporo przytyłem. Żywność była wtedy stosunkowo tania. Z kosztownych uciech jeszcze nie korzystałem. Nową odzież i buty postanowiłem kupić w kraju i na to potrzebne mi będą tam pieniądze. Trzeba było zatem pomyśleć, żeby to niezbędne minimum polskich środków płatniczych uzyskać. I nie ma co owijać w bawełnę, trzeba było wziąć z Kijowa jakieś rzeczy do sprzedania w kraju.

W owym czasie w Związku Radzieckim były już artykuły, głównie techniczne, które warto było przywozić do Polski. Były to całkiem dobrej jakości aparaty fotograficzne, radia, no i oczywiście zegarki.

Te zegarki marki „pobieda”, może i skromne z wyglądu, wszakże bardzo dokładnie odmierzały czas. Okazały się też niezawodne i trwałe.

W kraju zamierzałem nabyć jakąś dobrze skrojoną polską odzież po to, żeby się tutaj w Kijowie wyróżniać pośród tak pospolitej szarzyzny. Na pewno jest w tym nutka próżności, ale czy człowiek może się ustrzec wszystkich ułomności ludzkich?

W biurze podróży „Inturist” wykupiłem bilet i kuzetkę na pociąg do Warszawy z przesiadką w Brześciu. I teraz hajda w drogę do kraju, do swoich, na wypoczynek po całorocznej harówce.

Do Brześcia pociąg z Kijowa przyjechał w godzinach rannych, zaś pociąg do Warszawy odjeżdżał stąd około południa. Mając sporo czasu do dyspozycji, zdecydowałem się pozostawić bagaż w przechowalni i zobaczyć miasto. Nie było jeszcze wtedy w Brześciu wysokich domów ani nowych osiedli. Oglądając zabudowę głównych ulic odnosiłem wrażenie, jakby tutaj od czasów przedwojennego wojewody polskiego Kostki-Biernackiego, a może nawet od czasów cara Mikołaja II nic się nie zmieniło. Okres rozbudowy miast w ZSRR dopiero się wtedy rozpoczynał. Rodziny w dużych miastach otrzymywały pojedyncze pokoje z używalnością wspólnej kuchni i łazienki.

Usiadłem na ławce w głównej alei i rozmyślałem sobie nad historią tego miasta i okolicznej krainy. Szkoda, że czas nie pozwalał na zwiedzenie historycznej twierdzy, gdzie tak bohatersko walczyła jej załoga z Niemcami w lipcu 1941 roku.

Nawet się nie spostrzegłem, kiedy przysiadł się do mnie mężczyzna w średnim wieku i zaczął rozmowę w czystym polskim języku. Zachodziłem w głowę, po czym poznał, że jestem Polakiem. Z sentymentem wspominał czasy przedwojenne i zapamiętałe ganił obecne porządki. Żegnając się pomyślałem sobie: czy mówił szczerze? Rozmowa odbyła się co prawda w cztery oczy, ale mógł też otrzymać polecenie śledzenia mnie. A był to rok 1952, okres największego napięcia w polityce stalinowskiej. Nikomu nie ufano.

19.

Po odprawie celnej i paszportowej, dokonanej w starym jeszcze budynku dworcowym, wychodzę na peron. Trochę było mi żal, że musiałem pozostawić w depozycie jeden aparat fotograficzny (wiozłem trzy), ale co to ma za znaczenie, odbiorę go jak będę wracał do Kijowa w sierpniu. Teraz jest ważne to, że oto stoi przede mną pociąg z tabliczkami „Warszawa”. Stąd do Polski już tylko kilka kilometrów. Świadomość tego tak na mnie podziałała, iż mimo ciężkiego bagażu nie wiedzieć kiedy znalazłem się w wagonie. Uchylam okno i osłupiałem z wrażenia. Na peronie w bliskiej odległości od siebie stoją żołnierze z bagnętami na karabinach. Pociąg rusza powoli, a na stopnie wagonów wskakują żołnierze. Tak sobie myślę: jak to dobrze, że nie jedziemy w kierunku przeciwnym, jak mój stryjek w 1940 roku jechał na Sybir.

W pobliżu rzeki Bug widać biegnący przez łąki pas czarnej, zaoranej i zabronowanej ziemi, a tuż za nim wysoki płot, grodzony drutem kolczastym. Pociąg zatrzymuje się przed mostem i żołnierze zeskakują. Tuż za rzeką jest już Polska. Oh, jakaż to ulga, że ta groźna maskarada już się skończyła! W taki to sposób po raz pierwszy przekroczyłem lądową granicę ZSRR. W roku ubiegłym jesienią leciałem do Moskwy samolotem i momentu przekraczania granicy nie odczułem w jakiś szczególny sposób.

Ta procedura przekraczania granicy lądowej ZSRR zmroziła mnie. Przed kim to terytorialnie największe państwo świata zachowuje tak daleko posuniętą ostrożność? Nasunęła się refleksja, iż z tą naszą suwerennością państwową bynajmniej nie jest tak znowu źle jak to się mówi, skoro ZSRR odgradza się od nas tak szczelną i tak solidnie strzeżoną granicą.

Męczyło mnie to i zacząłem o tym mówić ze współtowarzyszem podróży, który wyglądał na obywatela radzieckiego. Tłumaczył mi, ujmując sprawę globalnie. Otóż, jego zdaniem, na skutek szpiegowskich zdrad i donosów w początkach wojny Armia Czerwona poniosła ogromne straty. W czasie wojny zginęły miliony obywateli radzieckich, było tak wiele kalek, tak wiele nieszczęść. Lepiej więc na zimne dmuchać, może nawet do przesady, byleby tylko nowej wojny nie było. Nie w pełni to do mnie dotarło, ale ja przecież nie jestem obywatelem światowego mocarstwa i myślę w kategoriach bardziej przyziemnych.

W Terespolu, ażeby ochłoniąć z wrażeń doznanych podczas przekraczania granicy, wypłem w barze dworcowym dwa duże kufle ciemnego piwa. Był to pierwszy smak rodzinnego kraju. W Kijowie piwa słodowego nie spotykałem, a do jasnego nie miałem jeszcze wówczas wyrobionych percepcji smakowych. Piłem za to dużo soków owocowych i kwasu chlebowego.

Nazajutrz w ministerstwie oddałem paszport i pobrałem stypendium w złotówkach za okres wakacji. Oczywiście dotyczyło to tylko części krajowej. Na dwa miesiące otrzymałem kwotę 640 złotych. W świetle ówczesnych cen zbyt wiele za to zwojować nie było można, nie wspominając już o potrzebie zakupu potrzebnej na następny rok odzieży.

Ale ja mam przecież w kraju rodzinę i wiem na pewno, że coś tam dla mnie z odzieży przygotowali, pisali zresztą o tym. A poza tym to coś tam w walizie leży na sprzedaż, ot chociażby te dwa aparaty fotograficzne, które celnicy przepuścili przez granicę, że to niby na upominki. Nie doświadczy więc człowiek niedostatku w czasie wakacji.

Teraz najważniejsze jest, żeby dotrzeć jak najprędzej do domu rodzinnego, przywitać się i pobyc między swymi bliskimi. Jeszcze tego samego dnia wyruszyłem pociągiem z Dworca Wileńskiego w Warszawie w rodzinne strony.

20.

W domu rodzinnym powitano mnie jak zmartwychwstańca. Ojciec, z reguły nieskory do wzruszeń, wyraźnie się rozkleił, coś tam zarządził i ani się spostrzegłem, gdy na stole dymił wysokokaloryczny posiłek, a ojciec poprosił siostrę o podanie wódki z kredensu.

Wypiliśmy po kieliszku i spojrzeliśmy po sobie. Ojciec najwidoczniej od razu dostrzegł pomyłkę i woła, że pewnie zamiast wódki podano nam święconą wodę, znajdującą się nomen-omen też w butelce po wódce. Siostra z tajemniczą miną zamienia butelki, a ja przygaduję:

- Pewnie chciałaś odkazić mnie, Irena, przepędzić ze mnie szatana.

Rozkoszuję się pobytem w rodzinnym miasteczku, odwiedzam kolegów z lat szkolnych, którzy tam pozostali i podjęli pracę. A pracy było wówczas pod dostatkiem dla każdego, nawet w takiej małej miejscinie, jak moje rodzinne miasteczko.

Pomagam także ojcu w jego zajęciach, ale czas wolny najchętniej spędzam w łóżku i to nawet w dni słoneczne. Właśnie teraz, kiedy organizm już nie jest zmuszany siłą woli do koncentracji i wysiłku, ujawnia się skala przemęczenia nagromadzonego w ciągu 10 miesięcy intensywnej nauki i do tego jeszcze w obcym języku. Po raz kolejny uświadamiam sobie, iż moje zasoby sił mają wyraźną granicę, po przekroczeniu której pojawiają się niepokojące symptomy zagrożenia zdrowia. Przyczyną tego jest niewydolność układu krążenia, spowodowana osłabieniem mięśnia sercowego. Jest to pozostałość po przebytej w dzieciństwie nieleczonej szkarlatynie. Chorowaliśmy na nią razem z młodszym braciszkiem Stasiem, który, niestety, zmarł. (...)

Bardzo dobrze się też złożyło, że otrzymałem skierowanie na obóz studencki nad morzem. W połowie lipca przyjechałem do Trzęsacza, małej wioski położonej nad morzem w pobliżu Rewala, także niedużej wsi, lecz znanej z domów wypoczynkowych. To tu ze skarpy, przy ruinach osuwającego się w morze kościółka, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem falujące po sztormie morze, o którym dotąd tylko czytałem i śpiewałem piosenki. W roku 1952 tych szczątków kościółka było jeszcze znacznie więcej niż obecnie. Mam pamiątkowe zdjęcie w otworze okiennym ściany, której teraz już nie ma, zabrała ją morze, jakby upominając się o swoje dawne terytoria.

Dzisiaj tamto lato nad Bałtykiem wspominam jak pobyt w raju. Byli tam studenci z wielu uczelni w kraju, wesoła, skora do żartów studencka brać. Nikomu nie przychodziło do głowy, żeby wzniecać swary polityczne i szerzyć nienawiść do bliźnich.

(.....)

Pożegnałem się serdecznie z rodziną i znajomymi. Przecież znów nie będziemy mogli się widywać przez całe dziesięć miesięcy!

W Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego złożyłem podanie o przeniesienie mnie na wydział elektryczny i odebrałem dokumenty związane z wyjazdem.

Poczynione uprzednio zakupy uzupełniłem o kilka płyt z melodiami granymi na studenckich potańcówkach na obozie w Trzęsaczu, w tym z melodiami śpiewanymi przez Zbigniewa Kurtycza. Będą mi przypominały lato nad morzem i Lucynę z Akademii Medycznej w Rokitnicy.

DRUGI ROK STUDIÓW
ROK AKADEMICKI 1952 - 1953
PRZENOSZĘ SIĘ NA WYDZIAŁ ELEKTRYCZNY

1.

Z Warszawy wyjechałem 29 sierpnia. Pomny ubiegłorocznych cierpień, gdy spałem na łóżku pod oknem, przy kaloryferze, tym razem chciałem być wcześniej, żeby zająć sobie w pokoju domu studenckiego łóżko jak najdalej od kaloryfera.

Jechałem tą samą trasą, jaką w czerwcu z takim przejęciem wracałem do Polski na wakacje z tym tylko, że teraz podróżowałem w przeciwnym kierunku. Tym razem nie dziwowałem się już procedurom kontroli granicznej. Pomyślałem sobie, że jeśli już tak musi być to należy się przyzwyczaić i nie zwracać uwagi na rutynowe czynności służb granicznych, tym bardziej, że wszystko to żadnych kłopotów mi nie nastęczało.

W komorze celnej odebrałem zarekwirowany do depozytu przy wyjeździe w czerwcu do Polski aparat fotograficzny, wiozłem ich wtedy za dużo, bo aż trzy.

Po przesiadce w Brześciu na docelowy pociąg do Kijowa, w tym samym wagonie znalazło się nas kilku z tej samej uczelni. Zebraliśmy się w przedziale jednego z kolegów, opowiadaliśmy sobie o przygodach z wakacji. Włączyłem się także i ja. Mówiłem o potańcówkach na tarasie pałacu w Trzęsaczu, zaśpiewałem nawet kilka zwrotek piosenek, które najbardziej wpadły mi w ucho. Podobała się melodia fokstrota do słów: „uśmiechnij się Agato, w górach gdzieś spędzimy lato”, lecz jeden z kolegów nagle spowaźniał. Zarówno melodię jak i słowa określił jako dekadencje i nie godne polskiego studenta Politechniki Kijowskiej. Inni momentalnie zamilkli. Cóż więc miałem robić w takiej sytuacji? Opuściłem przedział kolegi, poszedłem do swego i po chwili zacząłem sposobić się do spania.

Odtąd to ja już często podpadałem i dostawałem się na języki przeróżnych stróżów moralności „socjalistycznej”.

Pociąg szedł wolno po nienajlepszych widocznie torach, ale za to mniej kołysało i można się było całkiem porządnie wyspać. Obudziła mnie zdecydowana krzątanka w przedziale, wszyscy są podekscytowani, wszak to Kijów już niedaleko. Minęło dwa miesiące, gdy z taką radością wyjeżdżałem stąd na wakacje, a teraz cieszę się w duchu, że znów tu przyjechałem. Czuję, iż miasto to staje się mi bliskie, że jestem z nim związany duchowo. Wszak będzie to miasto mojej młodości, najlepszych lat mojego życia.

Na dworcu w Kijowie świat jest całkiem inny niż w Warszawie. W olbrzymiej poczekalni tłumy oczekujących pasażerów, niekiedy koczujących tu po kilka dni. Oczekują na miejsca w pociągach dalekobieżnych. Nie udało im się zrobić rezerwacji na całą trasę w punkcie startu i wyruszyli w daleką podróż z przesiadkami licząc, że się im poszczęści. Jak widać nie zawsze można liczyć na łut szczęścia.

Moją rzeczą jest dojechać do domu studenckiego. Na postoju taksówek kolejka oczekujących, a auta podjeżdżają rzadko. Na przejazd taksówką wówczas każdego było stać, a podaż nie zaspokajała popytu. Wsiadam więc do tramwaju, który właśnie zajechał na pętlę przy dworcu.

W alei Brestlitowskoje Szosse czuję się już swojsko, jakbym był u siebie, jakbym tędy jeszcze wczoraj jechał. Przy parku Politechniki tramwaj silnie kołysze na nierówno ułożonych torach. Studenci zwykli żartować, że tramwaj na tym odcinku jest zasilany prądem przemiennym i zatacza sinusoidę.

Ale oto i ulica Polewaja, przy której znajdują się domy studenckie Politechniki. Wsiadam i z ciężką walizką taszczę się pod niewielką górką. To jest moja ulica, tutaj mieszkają moi koledzy, czuję się tutaj zupełnie pewnie. Wiem, że na pewno otrzymam miejsce w domu studenckim, wiem także, że na pewno jeszcze dziś, jeśli tylko zdążę zająć do Instytutu, otrzymam stypendium, a jeśli nie zdążę to pobiorę je jutro. Ta właśnie pewność i poczucie stabilizacji materialnej ma dla mnie niezmiernie istotne znaczenie.

Tym razem w związku z przenoszeniem się na wydział elektryczny przydzielono mi miejsce w domu studenckim nr 2; mieszkają tutaj studenci wydziału elektrycznego. Jest to poniekąd pierwsza informacja dla mnie, że złożone w MSzW w Warszawie podanie będzie załatwione pozytywnie i że będę przeniesiony na wydział elektryczny. Bardzo mnie to ucieszyło, że tak dobrze zaczyna się ten nowy rok akademicki.

W pokoju byłem na razie sam i mogłem wybrać sobie łóżko według własnego widzimisię. Tym razem nie było łóżka pod oknem a więc będzie nas tylko sześciu.

Chciałbym wszakże mieć łóżko jak najdalej od kaloryfera. W roku ubiegłym zazdrościłem Saszy, który miał łóżko przy drzwiach, za szafą. I takie właśnie miejsce sobie wybieram. Będę w ten sposób częściowo odizolowany od świata, słowem czuć się będę, jak u Pana Boga za piecem. Warto było przyjechać dzień wcześniej.

Chętnie bym od razu odpoczął po podróży, lecz niestety, pościel będę mógł otrzymać dopiero po okazaniu zaświadczenia z łaźni o przebyciu „sanobrabotki” (dezynfekcji). Psioczę trochę na takie zwyczaje, ale to na nic, tutaj nie ma wyjątków, poddać się temu muszą wszyscy, bo takie jest zarządzenie. Z drugiej wszakże strony doceniam to zarządzenie, gdyż w jakimś stopniu zapobiega ono rozmnażaniu się wszelkiego robactwa w tak bardzo stłoczonych domach studenckich.

Wręczona pościel wydaje mi się jakaś szara, jakby niedoprana. Próbuję reklamować, lecz nie przynosi to skutku, bo wszystkie komplety są takie szare, nawet te nowe. Widocznie dla takich celów stosuje się płótno z gorszych gatunków bawełny i jakąś uproszczoną technologię produkcji. Najważniejsze, że pościel jest czysta.

Rozlokowałem swój skromny studencki mająteczek: odzież do szafy, a walizka pod łóżko, talerzyk, kubek i sztucze do szafki obok łóżka.

2.

Nazajutrz pokój zapelnia się. Okazuje się, że moimi współlokatorami w tym roku będą głównie studenci z wydziału górniczego. Mają oni stosunkowo komfortowe warunki studiów, bowiem otrzymują wyższe stypendia i to nawet za dostateczne noty na egzaminach. Mają zatem środki na całkiem znośne bytowanie.

Dostrzegam, że dwaj moi nowi koledzy są ode mnie znacznie starsi. Okazuje się, iż byli żołnierzami i walczyli na pierwszej linii frontu. Stiopa został ciężko ranny w Polsce, pod Sandomierzem. Od razu widać, że są to solidni ludzie, którzy wiele przeżyli, a nawet ocierali się o śmierć. W stosunku do mnie są życzliwi, przyjaźni, nawet opiekuńczy. Szczególnie Wania traktuje mnie, jak swego młodszego brata. Bardzo mi to odpowiada, że tak szybko zyskałem nowego, oddanego przyjaciela.

Wania zapowiedział, że dla lepszego poznania się urządzimy sobie w pokoju pogawędkę przy herbacie i przywiezionych z rodzinnych domów wiktuałach. Dobrze wszakże, że to nie dzisiaj, bo mnie korci, żeby pojechać do centrum miasta i pospacerować po Kreszczatiku.

Pod wieczór zakładam przywiezione modne wąskie spodnie, krótkie tak, żeby było widać skarpetki, nowe buty oraz fasonową kurtkę. Na pętli, przy parku im. Puszkina wsiadam w trolejbus nr 5 i jadę do centrum. Wsiadam w pobliżu „Uniwersytetu” i z zaciekawieniem wchodzę w jego szeroko otwarte podwoje. Wnętrze jego w owym czasie pulsowało życiem, zawsze było tam pełno klientów. Był to najlepiej zaopatrzonej dom towarowy w Kijowie. Prowadzony tam był szeroki asortyment towarów od drobiazgów, aż po motocykle. Oczywiście, jeśli była dostawa, bo w ciągłej sprzedaży atrakcyjnych towarów nie było.

Tym razem nie zamierzałem robić żadnych zakupów, więc, nasyciwszy oczy czerwienią i błękitem wystaw, wyszedłem na szeroki kijowski deptak, czyli na Kreszczatik. Spacerowałem sobie w kierunku placu imienia Lwa Tołstoja i z powrotem, przyglądałem się drugiej stronie ulicy, wzdłuż której wyrastały nowe domy. Po solidnych fundamentach i niezwykle grubych ścianach można było wnioskować, iż staną tutaj olbrzymie, solidne gmachy.

Jest koniec sierpnia. Wróciła do miasta studiująca młodzież. Na Kreszczatiku nieprzebrane tłumy, nastrój prawie festiwalowy, ludzie cieszą się życiem. Ta młodzież ma ustabilizowane warunki materialne, bardzo skromne, co prawda, lecz pewne, bo gwarantowane przez państwo. A po ukończeniu studiów pracy także było pod dostatkiem. Regularnie wypłacano zarówno stypendia w szkołach, jak i pobory za pracę. Refleksja ta nasunęła mi się po rozmowach z wykładowcami Politechniki Kijowskiej w latach dziewięćdziesiątych, kiedy to, jak sami mówili, nie otrzymywali poborów nawet przez kilka miesięcy.

(...)

Jutro rano pójdę do Instytutu i zacznę drugi rok studiów w Politechnice Kijowskiej.

3.

Jest dzień 1 września 1952 roku, godzina 7.45. Do Instytutu zmierzają tłumy młodych ludzi – to studenci; idą także starsi – to kadra naukowa uczelni. Na korytarzach rojno i gwarno, wszyscy się pozdrawiają słowem „priwiet”. Jakaż to spontaniczna radość emanuje z twarzy młodych, jakże przyjemne są lata studenckie!

Ażeby jednak być studentem trzeba zdawać egzaminy. Już na pierwszym zbiorowym wykładzie widać, że nie wszyscy powrócili z wakacji na drugi rok studiów. No cóż, nie zdali egzaminów i będą musieli rozejrzeć się za inną drogą w życiu. Pamiętam jak przy końcu wiosennej sesji egzaminacyjnej Lowa, wesoły chłopak z sąsiedniego pokoju mówił, że ocen dostatecznych to on nie ma. Zdawał na piątki i czwórki, ale niestety także na dwójki. A tych ostatnich złapał widocznie za dużo i w końcu sesji oświadczył, że ma zamiar zdawać do Szkoły Morskiej w Odessie. Szczerze żał mi było Lowy, nie będzie już między nami tego wesołego, każdemu życzliwego kolegi.

Nie powiodło się niestety także jednemu z polskich studentów. Żalowaliśmy, że nie będzie wśród nas tak spokojnego i przyjaźnie usposobionego Ignasia L.

W dziekanacie dowiaduję się, że sprawa przeniesienia na wydział elektryczny nie została jeszcze załatwiona i mam zgłosić się do swojej dotychczasowej grupy spawalników.

Tak cóż ty zrobisz człeku? Nie pozostaje mi nic innego jak studiować i czekać. W grupie powitano mnie bardzo przyjaźnie, a nawet z entuzjazmem. I w tym gronie brakuje jednego z kolegów, „obciąż” się na egzaminach. Lubiłem Saszę. Chętnie słuchałem, gdy opowiadał, jak przez kilka lat po wojnie przebywał ze swoją rodziną w Legnicy, gdzie jego ojciec pełnił służbę oficerską. Sasza często wspominał, iż on także chciałby zostać oficerem, lecz ojciec kazał mu studiować na politechnice i zdobyć zawód inżyniera. Teraz już na pewno nie będzie miał problemu z wyborem zawodu.

Już po kilku wykładach stwierdzam z niemalą satysfakcją, iż w tym roku łatwiej mi będzie przychodziła nauka. Całkowicie rozumiem wykłady, potrafię szybko notować po rosyjsku. Nabrałem już także sporego doświadczenia w wykonywaniu rysunków. Wciąż jednak trapi mnie myśl: czy moje podanie o przeniesienie na wydział elektryczny zostanie załatwione pozytywnie? Tak to już jest w życiu, że kłopoty i troski są zawsze, mniejsze lub większe, ale są. Człowiek zawsze musi się czymś zamartwiać.

4.

W sobotę, po południu wybrałem się na najbliższy bazar kołchozowy, który znajdował się wówczas trochę na prawo od alei Brestlitowskoje Szosse, jeśli się jechało w kierunku Placu Pobiedy. Na sporym obszarze ustawione były najrozmaitsze kramy i kramiki lub po prostu rozklekotane stoły, czy ławy. Sprzedawano owoce, kartofle, a także mięso i kurczaki. Produkty pochodziły z działek przyzagrodowych kołchoźników. Przywozili je tu otuleni w mocno sfatygowaną odzież ludzie o nieokreślonym wieku i postaci. Z wyglądu tych ludzi można było wnioskować, że w kołchozach się nie przelewa.

Ceny oferowanych produktów były z reguły wyższe niż w sklepach, lecz produkty prezentowały się ciekawiej i apetyczniej, były świeższe. Szczególnie dorodnie wyglądały jabłka antonówki i pomidory. A ja właśnie głównie przyjechałem po pomidory. Jest duży wybór, ułożonych w kupki po kilka sztuk, tak gdzieś średnio po kilogramie. Kupiłem duże, ładne, dojrzałe, o malinowej skórce. Wiem, że będą mi smakowały. Od razu bym gryzł te smakowite, wypełnione ukraińskim słońcem, jakże soczyste owoce. Trzeba je wszakże uprzednio dokładnie umyć, żeby nie nabawić się jakiejś choroby.

Kupiłem także dużą, dorodną kiść winogron i tu już nie wytrzymałem, tak ciekła mi ślinka, więc umyłem kiść pod bieżącą wodą i, smakując każdą kroplę soku rozgryzionego owocu, cieszyłem się, że życie jest tak piękne. W moich rodzinnych stronach winogron nie uprawiano, a i dowożono je tam wtedy bardzo rzadko. Postanowiłem więc, że winogrona będę jadał często, rzecz jasna dopóki będą w sprzedaży. Kartofli w owym czasie jeszcze nie kupowałem, szkoda mi było zachodu na ich smażenie.

Kiedy wróciłem z zakupów, w pokoju był tylko Wania, najstarszy z nas. Bardzo lubię obcować z Wanią. Jest poważnym, rzeczowym, dojrzałym mężczyzną. Nigdy nikomu nie usiłuje dokuczyć, nie drwi z nikogo i nikomu nie docina. Mówi tylko o pozytywnych cechach swoich znajomych. Jest wysokim, przystojnym brunetem. Nosi się po żołniersku: wojskowa bluza zapięta pod szyją, ściśnięta szerokim skórzanym pasem, ciemne, starannie wyprasowane spodnie wpuszczone w cholewy zawsze wyglansowanych butów. Iluż to takich porządnych, solidnych mężczyzn poległo na froncie? Wania jest zdania, iż do nowej wojny za wszelką cenę nie należy dopuścić, a ceną tą są także wyrzeczenia ponoszone dla dozbrojenia armii.

Dziś Wania z tajemniczą miną oznajmia, że „друзья” wrócą niebawem, i że to właśnie dziś chcą urządzać wspólną kolację, na którą mnie gorąco zapraszają. Zaproszenie przyjąłem z niekłamanym entuzjazmem, bo przecież po takiej kolacji więzy przyjaźni w pokoju na pewno jeszcze bardziej się zacieśnią.

Na stole pojawiły się przywiezione z domów rodzinnych wiktuały: a to domowe kielbaski, wędzona słoninka, to znów wysoko słodzone domowe konfitury. Jest także butelka portwajnu, całkiem dobrego wina, mającego i tę zaletę, że jest w cenie dostępnej na studencki portfel.

Ja także mam czym poczęstować kolegów. Przywiozłem dobrze przyrządzoną ojcowską wędzonkę. Ojciec, przedwojenny rzeźnik, potrafił przygotować smaczne wędliny. Miały one wygląd, zapach i smak, słowem palce lizać.

Cieszyłem się, że wszystkim tak smakowała ta wędzonka z Polski; dobrze, że miałem tego spory poć. Już po drugim wzniesionym przez Saszkę ideowym toaście potoczyła się wartka, otwarta rozmowa. Nawet Wania, zazwyczaj tak oszczędny w słowach, tym razem się rozgadał. Niemniej ważył wypowiedzi, nie rzucał słów na wiatr. Widać w nim było znamię wojny. Brał udział w ciężkich bojach na Węgrzech i był ranny. Był wtedy jeszcze bardzo młody. Teraz jest mężczyzną dojrzałym, dobrze się prezentującym i nadzwyczaj solidnym.

Drugi „frontowik” Stiopa, średniego wzrostu mężczyzna, miał już prawie trzydziestkę, rzadniejące włosy i zaczynał tyć. Miał szczery, otwarty charakter, zdawało się, że czasami bywał zgoła rubaszny. Jak już wspominałem, był ranny w Polsce, na przyczółku sandomierskim. Lubił opowiadać o swoim powodzeniu u Niemców, gdy z jednostką wojskową stacjonował w okolicach Berlina. Stiopa robił na mnie wrażenie nadzwyczaj życzliwego i uczynnego kolegi i takim był naprawdę.

Najmłodszy z nas Sasza, niski brunecik, był zawsze pełen wigoru i najróżniejszych pomysłów. W wojnie udziału nie brał, bo był jeszcze za młody. Za to teraz w czasie studiów daje z siebie wszystko na niwie pracy społecznej. Jest aktywnym działaczem Komsomołu. Ponieważ na wydziale górniczym praktycznie nie ma kobiet więc Sasza, jako przewodniczący koła Komsomołu na swoim roku studiów wpadł na pomysł, żeby nawiązać kontakty ideowo-towarzyskie z grupą dziewcząt z Komsomołu na Uniwersytecie. Spotykali się na wspólnych zebraniach, razem chodzili do opery i do teatrów. Sasza jest urodzonym prowodyrem, ciągle jest w ruchu, wciąż coś tam zamyśla. Dla wszystkich ma otwartą duszę, każdemu chciałby dawać ideowe porady, niekiedy wpadając w ton mentorski. Lubi paradować w górniczym uniformie z błyszczącymi guzikami.

Wszyscy ci koledzy z wydziału górniczego byli porządnymi, solidnymi ludźmi. Dobrze mi było pośród nich i najlepiej ich zapamiętałem ze wszystkich, z którymi mi przyszło mieszkać podczas studiów w Kijowie. Tak się nie wiedzieć czemu składało, że na każdym roku studiów mieszkałem w innym gronie.

Mieszkał w naszym pokoju także Kola, student wydziału elektrycznego, zawsze gładko ulizany blondynek, często aż do przesady szczotkujący swój ciemny garnitur w jasnoniebieskie prążki. Rzucało się w oczy, że musiał być niezłe sytuowany materialnie. Naturę miał skrytą i zagadkową. Jeśli już rozmawiał, to tak jakoś półgębkiem, jakby od niechcienia, jak Hindus z wyższej kasty z pariasem. Tak właśnie odnosił się do kolegów z wydziału górniczego, często podkreślając, że oni otrzymują stypendia już za oceny dostateczne. Nie było to moim zdaniem w porządku wobec starszych wiekiem kolegów, którzy narażali swoje życie na froncie, między innymi i po to, żeby Kola mógł teraz studiować. Zwracałem mu na to uwagę, lecz na moje uwagi Kola w ogóle nie reagował.

Do rozumu musieli jemu w sposób przekonywający przemówić studenci górnicy, bo Kola nabrał do nich respektu i całkowicie przestał ich nagabywać, jakby czemuś to nabrał do nich szacunku. Za to całą swoją dręczycielską energię ukierunkował na mnie, szczególnie kiedy byliśmy w pokoju sami. Ileż to mi nadokuczał ten młody człowiek, nie-komsomolec. Nie jest łatwo unikać konfliktów, chociażby nawet słownych, jeśli ktoś rozzuchwalony nieustannie prowokuje epitetami uwłaczającymi godności narodowej. Wychowany na północnym Mazowszu, na pograniczu dawnego państwa krzyżackiego, gdzie Ukraińców praktycznie nie było, nie miałem żadnych uprzedzeń do tego narodu. A teraz, tutaj w Kijowie, gdy druga strona cynicznie usiłuje poniżyć naród, z którego się wywodzę nie mogę się powstrzymać i wszystko się we mnie buntuje, więc czasami nie panując nad sobą odpłacam pięknym za nadobne.

Kola ma tę przewagę, że jest w swoim kraju i oświadcza mi, iż jestem nacjonalistą, wrogiem ZSRR, i że on spowoduje, iż zostanę wydalony z Kijowa. Postawiłem wszystko na jedną kartę; niech wyjadę, lecz nie pozwolę się poniżyć. Szło już na ostro. Były nawet dyskusje o Katyniu, a ja mimo oficjalnej wersji nigdy nie miałem wątpliwości kto jest sprawcą tego strasznego mordu na moich rodakach, polskich oficerach. Rozmowy nasze odbywały się bez świadków. Widocznie Kola swoje porachunki z Polakami wolał załatwiać w cztery oczy. Obawiałem się, czy nie zostanę wezwany do odpowiednich władz na przesłuchanie. A były to jeszcze czasy stalinowskie i naprawdę było się czego obawiać. Ale Kola, pomimo że często powtarzał: „я тебя вышибу из Киева” (ja ciebie wykurzę z Kijowa), lecz nie wiadomo czemu nie realizował swoich pogroźek.

Kola, jak się później okazało, pochodził z Wołynia i miał najwidoczniej jakieś zapiekłe porachunki z Polakami. Ja byłem pod ręką, więc na mnie skrupiło się to całe jego dręczycielskie usposobienie. Ale tu trafił swój na swego, kosa na kamień. Nie dałem się zastraszyć pogroźkami Koli. A swoją drogą wtedy to właśnie przyszło mi do głowy, iż powieść H. Sienkiewicza „Ogniem i mieczem” nie pomagała w ułożeniu przyjacielskich stosunków pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Wypominano, że Polacy pacyfikowali ziemie ukraińskie „огнём и мечом” i że o tym nie można zapominać.

Stosunek Koli do mnie uległ zdecydowanej zmianie po występach w Kijowie Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Kola na te występy chodził dwukrotnie. Za drugim razem przyszedł jakiś odmieniony i oświadczył, że po prostu zakochał się w tym zespole, a mnie prosi o wybaczenie tych przykrości, które mi dotychczas sprawił oraz, że więcej nie będzie już mi dokuczał. I faktycznie słowa dotrzymał.

I tak to dzięki występom polskiego zespołu w Kijowie umorzony został konflikt narodowościowy pomiędzy Polakiem i Ukraińcem. Nie ukrywam, że był on dla mnie bardzo uciążliwy i z jego zakończenia bardzo się ucieszyłem. Dziękowałem w duchu tym tak pięknie i tak wdzięcznie śpiewającym dziewczętom i chłopcom za to, że potrafili skruszyć sumienie mojego gnębiciela Koli.

Należy dodać, iż zespół „Mazowsze” zrobił wtedy furorę w Kijowie. Liryzm piosenek i dynamika tańców urzekła mieszkańców metropolii nad Dnieprem. Część tego splendoru spadła i na nas, polskich studentów w Kijowie. Serdecznie nam gratulowano, mając na względzie fakt, iż jesteśmy przedstawicielami narodu, który posiada tak pięknie śpiewający i tańczący zespół. W takich okolicznościach przyjemnie jest być Polakiem za granicą. Obok osiągnięć kulturalnych dużą rolę w podtrzymywaniu ducha narodowego mają także wyczyny sportowe. Ale o tym w dalszej części wspomnień.

Wracając jeszcze do byłego mego prześladowcy Koli. Otóż właśnie on najbardziej zaskoczył mnie swoją postawą podczas wyborów. Inni studenci głosowali już wczesnym rankiem, a Kola wciąż ostentacyjnie wylegiwał się w łóżku. Dopiero po dwukrotnej interwencji grupy agitatorów z lokalu wyborczego Kola łaskawie poszedł głosować i to tuż przed zamknięciem lokalu. Trzeba powiedzieć, iż w tym czasie takie przypadki zdarzały się wśród studentów niezwykle rzadko i Kola urósł w moich oczach do rangi odważnego człowieka.

5.

W okresie moich studiów w Związku Radzieckim przywiązywano dużą wagę do zajęć i osiągnięć sportowych. Niezwykle popularni byli sportowcy osiągający rekordowe wyniki na zawodach międzynarodowych. Zawody sportowe organizowano dosłownie wszędzie tam, gdzie istniały zorganizowane grupy społeczne. Lokalnych mistrzów i rekordzistów wyróżniano i otaczano nimbem uznania, ich zdjęcia i nazwiska umieszczano na tablicach dla zasłużonych. W ten sposób dbano między innymi o to, by młode pokolenie było zdrowe i silne, a i zainteresowania ogółu zostały odpowiednio ukierunkowane.

Oczywiście, że i w naszym Instytucie sport był niezwykle popularny i obejmował szerokie kręgi młodzieży. Na terenach uczelni znajdowały się dobrze wyposażone obiekty sportowe. Był także stadion piłkarski.

Pierwszą narodową drużynę piłkarską na Politechnice Kijowskiej zorganizowali studenci węgierscy. W owym czasie ich reprezentacyjna drużyna narodowa znana była w całym świecie, więc oni tutaj w Kijowie także postanowili zaprezentować swoją, niejako narodową wówczas dziedzinę sportu, niezmiennie najbardziej popularną.

Za przykładem bratanków Węgrów poszliśmy i my, Polacy. Kapitanem naszej drużyny, a także jej trenerem został lubiany przez wszystkich kolega Edward Głódź. Po kilku próbnym treningach także i ja, jako bramkarz, wszedłem do polskiej kadry narodowej w Kijowie. Grałem na tej pozycji w szkolnych drużynach w kraju i zdarzało się, że bronilem nawet rzuty karne.

Po kilku treningach rozgrywamy mecz z Rumunami i wygrywamy. Kolejny mecz rozgrywamy z Węgrami i także zwyciężamy! To już był prawdziwy triumf, zważywszy ówczesne pozycje na arenie międzynarodowej naszej drużyny polskiej i węgierskiej. Lecz tutaj, na Politechnice Kijowskiej, to my jesteśmy zwycięzcami turnieju. I pyszni się tym. Przez kilka dni wysoko nosimy głowy, jakby to na czołe było wypisane, że to my Polacy jesteśmy zwycięzcami w turnieju piłki nożnej. Nawet takie lokalne sukcesy pozytywnie wpływają na poprawę samopoczucia i dają możliwość podkreślenia własnej tożsamości w otaczającym świecie.

Działali też nasi studenci w kręgach kulturalnych. Istniał międzyuczelniany zespół wokalny studentów polskich. Występowali na wielu imprezach zespołów amatorskich. Popisowym numerem była piosenka „Umarł Maciek umarł, leży już na desce”. Słów piosenek i tak na ogół publiczność nie rozumiała, ale wokalnie wpadał w ucho śpiewany ochoczo przez młodych mężczyzn mazurek. Były zespoły, można powiedzieć, narodowe, lecz nasi studenci występowali także w zespołach swojej uczelni. I tak Janusz Wasilewski tańczył w zespole amatorskim całej Politechniki. Z satysfakcją oglądałem jego występ na scenie opery, nawet przechwalałem się przed siedzącą obok mnie koleżanką z grupy, że to mój kolega, jakby to w tym jego tańcu i moja była zasługa.

Janusz dobrze się prezentował. Był szczupłym, proporcjonalnie zbudowanym, ciemnym brunetem z zabójczym wąsikiem. Jakby mało mu było zajęć w innych zespołach, założył jeszcze

własny, narodowy zespół taneczny, razem z polskimi studentkami z Uniwersytetu. I ten zespół zdobył także popularność, zapraszano go często na występy do tak licznych wówczas w Kijowie klubów kultury.

Imiennik naszego Janusza W., Janusz L., późniejszy dyplomata, był członkiem reprezentacyjnej drużyny bokserskiej Uniwersytetu. Słowem rozkręciła się wtedy polska młodzież w Kijowie i dawała godne świadectwo o swoim kraju, z którego tak była dumna.

I tak to się toczyło polskie życie w Kijowie. Wszakże przecież najważniejszą sprawą była nauka. Inne zainteresowania miały swój urok i smak tylko wtedy, gdy z nauką wszystko było w porządku. A w Instytucie zajęcia biegły pełnym swoim tokiem: dwugodzinne wykłady, ćwiczenia, zajęcia laboratoryjne i projekty semestralne.

W trzecim semestrze doszły nowe przedmioty, związane już ściślej z zawodem inżyniera, jak chociażby mechanika teoretyczna. Były wykłady plenarne, także ćwiczenia, w czasie których rozwiązywaliśmy konkretne zadania, w tym także i takie, które mogą występować już w praktyce zawodowej. Zadawane były ćwiczenia domowe, jak w szkole średniej. A każdy wykładowca uważał, że właśnie jego przedmiot jest najważniejszy i prawie, że jedyny, więc zadawał tyle, jakby cały czas należało poświęcić tylko na jego przedmiot. Dobrze, że do egzaminów było jeszcze daleko, więc nie przygniatał człowieka ten ciężar stresów, tak charakterystyczny dla czasu sesji egzaminacyjnej.

Zazwyczaj nie zabierałem do Instytutu drugiego śniadania. Nie było takiej potrzeby. Bo jeśli bowiem poczułem się głodny, to mogłem bez kłopotu kupić coś do zjedzenia w licznych kioskach, ustawionych na korytarzach. Najbardziej odpowiadały mi ciepłe pierożki nadziewane powidłami, smażone na oleju słonecznikowym. Mówiono o nich różnie, lecz mnie one smakowały i nigdy nie zaszkodziły. Teraz, gdy tylko o nich pomyślę, to od razu zjadłbym kilka naraz.

6.

Zbliżała się 45. rocznica Rewolucji Październikowej. Mówiło się powszechnie, iż z tej okazji ogłoszona zostanie obniżka cen artykułów spożywczych i przemysłowych powszechnego użytku. Nie zagłębiałem się jeszcze wtedy w arkana ekonomii i nie rozważałem, czy to jest prawidłowe działanie z punktu widzenia ekonomicznego, czy po prostu jest to tylko zwykły chwyt propagandowy. Co by tam nie było, to ze zniżki cen bardzo się ucieszyłem, a była ona znacząca. Była to ostatnia na szeroką skalę zakrojona obniżka cen, jaką pamiętam. Po śmierci Stalina i zmianie ekipy rządzącej były częste korekty cen, lecz zawsze tylko w górę.

Rocznica Rewolucji Październikowej była, jak zwykle, okazją do organizowania spotkań koleżeńskich. Także i moja grupa specjalizacyjna, wtedy jeszcze spawalnicza, spotkanie takie zorganizowała. Był jakiś referat, mała dyskusja, a potem potańcówka, przy muzyce z płyt. Na miejsce spotkania wybrano jedną z sal Instytutu.

W grupie naszej było kilka koleżanek, które, jak wszystkie kobiety na świecie, chętnie tańczyły. Próbowałem to z jedną, to z drugą i jakoś mi nie wychodziły te tańczone w bardzo szybkim tempie walczyki. Od tej pory mam do dziś awersję do tańców tańczonych na okrągło. Pomyślałem wtedy sobie, że może dobrze byłoby przynieść swoje płyty, przywiezione z Polski. Do domu studenckiego przecież niedaleko. Wracam gdzieś po 20 minutach przekonany, że zrobię koleżankom i kolegom frajdę, bo będą mogli zatańczyć sobie tanga i fokstroty. Ale zażby tam! Już po pierwszej płycie wszyscy się jakoś dziwnie usztywnili, nawet zaniemówili. Dają mi do zrozumienia, że nie chcą tańczyć przy moich płytach, nie chcą nawet ich słuchać. Widocznie trąci im ta cała sprawa zgniłym zachodem i tutaj na oficjalnym spotkaniu z tak ważnej okazji i to w dodatku na terenie Instytutu chcą zachować wszelkie pozory ideowości.

W lot zrozumiałem sytuację i dałem za wygraną. Pakuję więc te swoje gorszące porządnych ludzi płyty do teczki i niech już sobie będą te szybkie walczyki dla ideowego spokoju.

Koleżanek jest mniej niż chętnych do tańca kolegów. Są więc ciągle na pełnych obrotach. Zgrzały się i wachlują się zeszytami lub książkami. W sali wyczuwa się zapach silnych perfum i rozgrzanych ciał.

W tamtych latach była właśnie moda na obfite skrapianie się mocnymi pachnidłami, które były dostępne i tanie. Były to pachnidła esencjonalne, bardzo mocne, najczęściej o zapachu bzu lub róży. Używano ich w przesadnym nadmiarze. Pachniało wszędy. Normalny zapach rozgrzanego ciała może drażnić powonienie, ale woń tych perfum utrudniała oddychanie, czasami w zatłoczonym trolejbusie robiło się człowiekowi wręcz niedobrze.

Uczciwie mówiąc to ja przez jakiś czas, idąc za przykładem kolegów z pokoju, obmywałem sobie twarz po goleniu silnie pachnącym, prawie żrącym płynem. Skóra moja tego jednak nie wytrzymała. Wystąpiły podrażnienia i musiałem zrezygnować z tych ablucji.

Wiadomo było, iż 7 listopada na Kreszczatiku będzie defilada wojskowa. Chętnie bym ją obejrzał, lecz trzeba mieć zaproszenie, a mnie jak dotychczas wszelkie zaproszenia na ciekawsze imprezy czemuś to omijały.

Za to koledzy zaprosili mnie na prywatkę do znajomych w mieście. Zebrało się kilkanaście osób, byli nawet znajomi, lecz dziewczyny wszystkie, jak jedna, były spoza Instytutu. Było wino, ciastka, kanapki z wędliną i serem, a także słodczyce. Tańczyliśmy przy muzyce z płyt. W tym gronie melodie z moich płyt - tanga i fokstroty - bardzo się podobały. Oczywiście, że przy tych melodiach ja także dobrze się bawiłem. Kolega, który mnie tam ze sobą zabrał - Czesław A. - powiedział mi w zaufaniu, że dobrze się spisałem.

Bawiliśmy się wesoło, strzelały korki od butelek z „sowieckim szampanskim”, dziewczyny chętnie przytulały się w tańcu, nie było żadnych referatów i przemówień, tylko liczne toasty, bo jak któryś kolega powiedział: „это тоже идейная работа”.

Można było sobie pofolgować do rana, gdyż nazajutrz także był wolny dzień. Poznałem na tym balu rudą dziewczynę, która dla kontaktów towarzyskich przybrała sobie wyszukane imię Stella.

W owym czasie ludzie skorzy byli do zabaw. Mieli ustabilizowany byt materialny, skromny bo skromny, ale starczało na utrzymanie i na zabawy. Żywe jeszcze były w pamięci koszarne lata wojny i ludzie chcieli się jakby nacieszyć życiem i za tamte lata. Ceny były tak skalkulowane, że mimo niskich zarobków każdego było stać na kupno biletów do teatrów, opery czy sal koncertowych. Stać było także na kupno wina i zakąsek oraz na urządzenie przyjęć towarzyskich. (...)

Również w naszym polskim Konsulacie nie pominięto okazji do obchodów uroczystości. Była akademicka, skromny poczęstunek, a potem coś w rodzaju potańcówki. Partnerką do tańca było jak na lekarstwo. Ozdobą towarzystwa była żona konsula.

(...)

7.

(...)

W nauce języka rosyjskiego pomagało samo przebywanie w otoczeniu, gdzie rozmawiano w tym języku. Po rosyjsku prowadzono wykłady na Politechnice, w tym też języku napisane były książki, z których korzystaliśmy na co dzień. Tylko niektórzy autorzy książek z zakresu techniki wydawali je w języku ukraińskim. Również nieliczni tylko studenci narodowości ukraińskiej rozmawiali ze sobą w języku ojczystym, będąc w szerszym gronie.

Na egzaminie z języka rosyjskiego otrzymałem najwyższą ocenę. Lecz praktycznym sprawdzianem stopnia mojej znajomości tego języka był egzamin z mechaniki teoretycznej. Otóż egzaminator z tego przedmiotu nie poznał, że jestem „inostrancem” (cudzoziemcem). Dopiero, gdy po wpisaniu oceny do indeksu widząc jej wartość uszczęśliwiony odruchowo podziękowałem po polsku, egzaminator pogratulował mi dobrej znajomości przedmiotu oraz biegłości w posługiwaniu się językiem rosyjskim. Zapytał także, czy znam jeszcze jakiś inny język obcy? Odpowiedziałem, iż kilka lat uczyłem się języka francuskiego. Mój rozmówca na szczęście nie próbował nawiązać konwersacji w tym języku.

Sesja zimowa po trzecim semestrze jakoś mało utkwiała mi w pamięci, ponieważ nie dała mi się specjalnie we znaki. Umiałem już przygotowywać się do egzaminów i nauczyłem się je zdać. Jak zwykle nie pchałem się nigdy na pierwszy ogień i z zainteresowaniem słuchałem relacji tych, co wychodzili z sali po egzaminie. Mówili o swoich pytaniach z wyciągniętej kartki, a także o zadawanych pytaniach dodatkowych. Można się było sporo nauczyć. W takich bowiem sytuacjach mózg pracuje wyjątkowo sprawnie, jest chłonny jak gąbka, łatwo zapamiętuje wiadomości, które się mogą zaraz przydać, jak chociażby odpowiedzi na pytania dodatkowe. Ważne jest i to, że jak po latach stwierdziłem, ta wiedza, zdobyta jakby pod napięciem, najtrwalej zachowała się w głowie. Do dziś pamiętam wiele z tych wiadomości, zasłyszanych na korytarzu przed salą egzaminacyjną. Zawsze zapamiętywałem łatwiej to, co usłyszałem.

Wszystkie egzaminy w tej sesji zdałem na najwyższe noty. Mogłem więc ze spokojem oczekiwać zebrania studentów polskich na Politechnice dotyczącego wyników w nauce po półroczu. Czego by tam nie wymyślili nasi aktywiści, lecz do mojej postawy w nauce czeplić się nie mogli i to była rzecz podstawowa.

8.

Na początku IV semestru (luty 1953 r.) otrzymałem wezwanie do dziekanatu. Nie podano na nim w jakiej sprawie, więc przez kilka dni całkiem niepotrzebnie się niepokoiłem. Może Kola naskarżył wcześniej o moim nacjonalizmie? Tak się przecież odgrażał. Może ktoś doniósł o tych moich płytach i tańcach kosmopolitycznych? Ależ to przecież bzdura i nie jest to sprawa dziekanatu. Egzaminy zdałem i to na wysokie noty. O co więc może tu chodzić? Swoimi rozterkami z nikim się nie dzieliłem, bo zaraz byłyby domysły, może nawet próby wywołania strachu, robienie z igły widel.

Nie każde jednak wezwanie do tak wysokiego dla studenta „urzędu” wiąże się tylko ze sprawami przykrymi, czasem mogą to być przecież także sprawy przyjemne. Tak właśnie było i tym razem. (...)

Z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego wpłynął wniosek o przeniesienie mnie na wydział elektryczny Politechniki Kijowskiej i rektor Politechniki wyraził na to zgodę. Ależ się ucieszyłem! Sekretarka powiedziała, iż jest jej przykro, że z takim entuzjazmem odchodzę z jej wydziału. Przeprosiłem ją, jak tylko to zrobić umiałem. Pobiegłem z miejsca do dziekanatu wydziału elektrycznego, jakby mi skrzydła wyrosły.

Był to bardzo ważny w moim życiu punkt zwrotny, znamienity aż po kres pracy zawodowej. Tak ogólnie rzecz biorąc to mi w życiu nic łatwo nie przychodziło, ale gdy się już do czegoś przyłożyłem to udawało mi się coś wyrwać z życia także dla siebie. Tak było i w tym przypadku: spełniły się moje marzenia życiowe, gdy jeszcze w dzieciństwie myślałem o tym, żeby budować takie maszyny elektryczne, które wytwarzają prąd, jak to widziałem w małej elektrowni w moim miasteczku. A do specjalności spawalnika nie miałem ani serca, ani przekonania.

Z mechaniką jednak nie zrywałem całkowicie, bowiem zgodnie z moim życzeniem zostałem przydzielony do grupy elektromechaników o specjalności „maszyny elektryczne”. Program nauczania był taki, żeby przyszły absolwent miał wiedzę zarówno z dziedziny elektrycznej, jak i mechanicznej. Potrzebne to było do wykonywania w przyszłości wyuczonego zawodu.

Były to te wzniosłe aspekty zmiany kierunku specjalizacji, ale niestety były też i sprawy przyziemne. Otóż w wyznaczonym terminie trzech miesięcy trzeba było zdać egzamin z teoretycznych podstaw elektrotechniki, w zakresie materiału wykładanego w III semestrze. Na wykłady z tego przedmiotu dotąd nie uczęszczałem, byłem przecież na wydziale mechanicznym. A był to przedmiot niezwykle trudny, szczególnie w początkowym okresie jego nauczania. Ileż to anegdot przekazywanych było z roku na rok o studentach, którzy „połamali się” na egzaminie z tego przedmiotu i potracili stypendia! Dobrze jeśli tylko na jeden semestr.

W kilka lat później, gdy już pracowałem w fabryce, koledzy absolwenci Politechniki Wrocławskiej opowiadali ze zgrozą, jak to jeden z profesorów niemiłosiernie „kosił” studentów na egzaminie z podstaw elektrotechniki. Niektórzy nie wytrzymywali tej presji, zmieniali kierunek studiów lub nawet je porzucali. Na pewno sporo było przesady w tych opowiadaniach, lecz też, jak się wkrótce okazało, sporo było prawdy. Początki z tego przedmiotu były trudne. Ale cóż ty zrobisz? Trzeba się było eksternistycznie przygotować do egzaminu i go zdać.

Uznając zasadę, że chceć to móc, nastawiłem całą swoją wolę i całą zawziętość do nauki na potrzebę przygotowania się do egzaminu z tego całkowicie nowego dla mnie przedmiotu. Nie miałem własnych notatek z wykładów, bo przecież na nie nie uczęszczałem. Wypożyczyłem więc konspekty od nowego kolegi, o którym powiedziano, że na pewno prowadził je dobrze. Wypożyczyłem też z biblioteki stosowny podręcznik. A swoją drogą to biblioteka w Instytucie była zasobna w podręczniki, wystarczało dla wszystkich, którzy ich potrzebowali. Przy bibliotece była duża porządnie utrzymana czytelnia, w której był taki nastrój do nauki, że aż chciało się tam studiować.

Wypożyczony podręcznik to było dużego formatu tomisko, grube i ciężkie, solidnie oprawione w trwałe, kartonowe okładki koloru jasnożółtego. Taka księga samym swoim wyglądem budziła respekt do zawartej w niej wiedzy.

Już po tygodniu zorientowałem się, że nauka tego przedmiotu to faktycznie nie przelewki. Nie da się tego ot tak po prostu „wyrpać na blachę”. Trzeba tę wiedzę przegryźć i poukładać w głowie. Zdaję sobie sprawę z tego, iż jest to kolejne moje „być albo nie być”. Uczę się więc tych podstaw mego przyszłego zawodu wszędzie, w każdej wygospodarowanej chwili, często kosztem innych przedmiotów wykładanych na bieżąco, w tym także kolejnych rozdziałów podstaw elektrotechniki. Nawet na spacerach usiłuję przypomnieć sobie przeczytany uprzednio rozdział, analizuję wzory i zależności. Wcześniej już wypraktykowałem, iż taki sposób nauki jest dla mnie najbardziej skuteczny.

Niemniej otwarcie muszę przyznać, że ta nowa dla mnie dziedzina wiedzy na początku nie wchodziła mi łatwo do głowy. Brak było podkładu, który otrzymuje się podczas słuchania wykładów.

Tak więc znów, podobnie jak w roku ubiegłym, stałem się odludkiem, mój świat zawęził się do nauki, posiłków i snu. Nie zrezygnowałem ze spacerów, a wręcz przeciwnie, zwiększyłem ich zasięg. Żyłem zatem jak zakonnik o ścisłej regule.

Koledzy z pokoju, obserwując moją zapalczywość w pożeraniu nauki, żartowali, iż pewnie jeszcze wnukom będę opowiadał o tym, jak to przygotowywałem się w Kijowie do egzaminu z podstaw elektrotechniki. Przestrzegali też, że od takiej nauki można dostać kręčka w głowie. I mieli rację. Najwyraźniej odczuwałem, że taka uporczywa intensywna praca mózgu zabija w człowieku jego osobowość.

Po kilku tygodniach takiej harówki stałem się milczącym odludkiem o stępionej wrażliwości, prawie nie reagowałem na sprawy nie związane z nauką. A nauki tej było bardzo dużo. Były przecież wykłady i ćwiczenia z dalszych rozdziałów podstaw elektrotechniki, były wykłady z innych ważnych i trudnych przedmiotów, były też zadania domowe i projekty semestralne.

Dzisiaj wydaje mi się, że program zajęć był zbyt przeladowany. Trudno było podołać nawet studentom bardzo solidnie traktującym swoje obowiązki. Chcąc nie chcąc często trzeba było iść na „chałturę” i odpisywać od kogoś wyniki opracowań poprzednich ćwiczeń laboratoryjnych. Bywało, że odpisywano także ode mnie.

A swoją drogą ile to trudu trzeba było włożyć, ile wyrzeczeń ponieść, żeby do czegoś dojść w życiu, żeby zostać inżynierem. Można tak sobie ponarzekać, lecz trzeba było harować dalej. „Per aspera ad astra” – jak mawiali starożytni Rzymianie. Pięknie to brzmi, ale człowiek zaczął już zapominać o świecie.

Jak to zwykle bywa, po momentach kryzysowych przychodzą przesilenia. Zacząłem się obawiać, że z moją pamięcią zaczyna dziać się coś niedobrego; wydawało mi się, że powstają w niej jakby czarne dziury. Ale to przeszło i pojaśniało w głowie, jak gdyby jakiś opór został przełamany. Gdzieś po dwóch miesiącach tej wytężonej nauki doszedłem do wniosku, że już dosyć tego, że mam już spory zasób wiedzy i należałoby spróbować zdać ten trudny egzamin, bo dłużej to już trudno jest wytrzymać w takim napięciu.

Zgłosiłem się więc do kierownika katedry profesora Iwana Mironowicza Czyżenki, nieśmiało prosząc o wyznaczenie terminu egzaminu. Profesor, uświadomiwszy sobie o co mi chodzi, przejrzał skrupulatnie terminarz swoich zajęć i wyznaczył mi termin za kilka dni.

Rzeczowy i życzliwy profesor maglował mnie dobre pół godziny. Powtórzyliśmy przy okazji prawie cały zakres materiału i profesor nawet mnie pochwalił, lecz do indeksu wpisał ocenę nie najwyższą. Nie było to w danej chwili tak bardzo istotne. Najważniejsze, że zdałem ten tak trudny egzamin, i że stałem się już pełnoprawnym studentem wydziału elektrycznego. Dalej na pewno będzie już łatwiej. Aby do wiosny, świat na pewno będzie wtedy piękniejszy.

Postanowiłem, że tej wiosny to ja sobie powetuję te trudne miesiące spędzone nad podręcznikiem podstaw elektrotechniki, miesiące wyrwane z moich młodych lat. Wszak takim znowu zakonikiem to ja nie jestem i wcale, ale to wcale nim być nie chcę.

Postanowienie to musiało być bardzo stanowcze, bo później nie przepuszczałem okazji do korzystania z pokus tego świata. Rzecz oczywista, że nauki, a później i pracy, to ja nigdy nie zaniedbywałem.

9.

W czasie, kiedy ja z niesłychanym samozaparciem uczyłem się podstaw elektrotechniki miało miejsce historyczne wydarzenie, które zdecydowanie wpłynęło na stopniową zmianę stosunków politycznych w znacznej części świata. Zmarł Józef Stalin. W dniu 5 marca 1953 roku podczas wykładu w dużej auli wszedł docent z katedry nauk społecznych i poprosił wykładowcę o przerwanie zajęć. Miał załzawione oczy i obolałym głosem oznajmił: „Товарищ Сталин скончался”. Zapanała grobowa cisza, nikt się nie odezwał i dopiero po kilku minutach wykładowca znów kontynuował wykład, lecz jakże zmienionym głosem.

Komunikaty o złym stanie zdrowia Stalina podawane były już od dłuższego czasu. A teraz oto stało się! Zapanała żalobny nastrój, głęboki smutek i żal widoczny był na twarzach wielu studentów, szczególnie tych, co walczyli na frontach drugiej wojny światowej. Nie taili, że szli do śmiertelnych ataków z imieniem Stalina na ustach: „За Родину, за Сталина, вперед!”. Stalin tego nie zapomniał, umożliwił im łatwiejszy dostęp do studiów na wyższych uczelniach.

Sasza, kolega z pokoju, działacz Komsomołu, miał taki wyraz twarzy, jakby przeżywał utratę kogoś naprawdę bliskiego. Głęboki smutek widoczny był na twarzach wielu ludzi przygodnie spotykanych na ulicy, w tramwajach, czy w sklepach. Żal okazywali też studenci zagraniczni, w tym również niektórzy Polacy.

Ja w tym czasie byłem bez reszty zaabsorbowany przygotowaniem się do egzaminu i nie miałem głowy do niczego innego. Nawet, gdyby się świat miał walić, to ja wiedziałem tylko to, że muszę się uczyć i zdać egzamin z teoretycznych podstaw elektrotechniki.

Przez kilka dni radio nadawało żalobną muzykę i komunikaty o tłumach ludzi wędrujących pieszo po kilkadziesiąt kilometrów do Moskwy, żeby wziąć udział w pogrzebie. W owym czasie o zbrodniach Stalina niewiele wiedziano i miał on wielu zwolenników, szczególnie wśród ludzi, którzy nie zajmowali się polityką. Ludzie prości mieli dostęp do nauki, do kultury, mieli zapewnioną pracę i całkiem znośny standard materialny. W imieniu Stalina szli do boju i ginęli. Ci, co przeżyli mogli cieszyć się zwycięstwem i potęgą militarną swojej ojczyzny. Teraz, po śmierci Stalina, ludzie ci poczuli się jakby osieroceni.

Po rewolucyjnej zawierusze Stalin poprowadził wielonarodowe społeczeństwo według zupełnie nowych, nie sprawdzonych reguł gospodarczych i polityczno-społecznych. (..)

W owym czasie szerokiemu ogółowi znane były tylko pozytywne strony działalności Stalina. O tym, że z woli Stalina torturowano w łagrach i więzieniach miliony ludzi, że wielu z nich umarło z głodu, chorób i wycieńczenia lub po prostu zostało zastrzelonych w tył głowy, społeczeństwo dowiedziało się w szerszym zakresie z referatu Nikity Siergiejewicza Chruszczowa wygłoszonego na XX Zjeździe KPZR w marcu 1956 roku, a więc po trzech latach od śmierci Stalina. Panujące w łagrach warunki opisał szczegółowo Solżenicyn w swoich książkach. Gdy je czytałem, byłem wstrząśnięty i przerażony. Po ujawnieniu prawdy o reżimie sowieckim, Stalin, którego uprzednio gloryfikowano, nieomal jak patrona narodów, teraz okazał się okrutnym katem własnego społeczeństwa. Wypaczył też ideały socjalizmu.

My Polacy mamy wszelkie ku temu powody, by stosunek Stalina do naszego państwa i narodu uznać jako skrajnie wrogi, prowadzący do upadku naszej państwowości i eksterminacji patriotycznie nastawionej części narodu. Polak w okowach ograniczonej wolności nie wytrzyma długo i prędzej czy później stanie do walki o pełną wolność, własną godność i honor.

10.

W pracowitym, codziennym życiu studenckim na Politechnice nie było czasu na dłuższe refleksje polityczne. Nauka pochłaniała całą energię i z konieczności trzeba było izolować się prawie od wszystkiego, co z nauką nie było związane. (...)

Po zdaniu egzaminu z podstaw elektrotechniki z dużym zainteresowaniem słuchałem wykładów z tego przedmiotu, prowadzonych przez prof. I. M. Czyżenkę. Nie sposób wyrazić słowami atmosfery panującej na sali, gdy ten wybitny uczony w sposób logiczny i przystępny wprowadzał nas w tajniki zjawisk elektromagnetycznych, ujętych w matematyczne reguły. Słuchaliśmy tych wykładów z przejęciem i z zapartym tchem, w nabożnym skupieniu, żeby tylko nic nie uronić. Miałem świadomość tego, iż to właśnie podczas takich wykładów niejako samoistnie dokonuje się misterium nasycania mózgu wiedzą techniczną i stopniowe zdobywanie kwalifikacji inżynierskich. Procedurą tego procesu było usiłowanie zrozumienia treści wykładu, nadążanie za tokiem myśli profesora i sporządzanie notatek. Wszystko to wymagało maksymalnej uwagi i pełnej koncentracji mózgu.

W interesujący sposób prowadzone były także wykłady z innych przedmiotów. Prowadzili je z reguły wybitni profesorowie, często uznani w świecie uczeni. Wykładów, ćwiczeń i zajęć laboratoryjnych z przedmiotów technicznych praktycznie nigdy nie opuszczałem. Zdawałem sobie bowiem sprawę, iż to właśnie podczas tych zajęć, niejako z dnia na dzień, staję się powoli inżynierem, że solidne, systematyczne wykonywanie studenckich powinności kształtuje charakter i przysposabia do przyszłej pracy zawodowej.

I tak to biegły dni polskiego studenta w Politechnice Kijowskiej. O tym, co działo się w świecie człowiek dowiadywał się z głośnika radiowego, zainstalowanego w pokoju lub z polskich tygodników, które otrzymywało się z kilkudniowym opóźnieniem. Gazet codziennych prawie nie czytałem, zresztą nikt z kolegów w pokoju ich nie kupował. Gazety były w pokoju do nauki, lecz bardzo rzadko je przeglądałem, ot czasami kolumnę sportową.

Niektórzy koledzy, żeby czuć się bliżej świata, kupowali sobie radia, wtedy lampowe. Mogli słuchać muzyki z całego świata i mieli łączność z krajem; u nich można się było dowiedzieć, co tam w kraju dzieje się nowego. A wieści były zarówno złe, jak i dobre.

Taką dobrą, a nawet bardzo dobrą wiadomością z kraju, podaną pod koniec marca 1953 roku, była informacja o zwycięstwie naszej polskiej drużyny bokserskiej w Mistrzostwach Europy w Warszawie. Dowiedziałem się o tym na ulicy. Wraciałem właśnie z zakupów (...). Miałem w swojej przepastnej teczce zwanej przez radzieckich kolegów teką ministerialną: świeżutki „baton” (długa bułka pszenna), masło i 300 gramów pokrojonej nożem w plasterki grubej kielbasy. Nie było jeszcze wtedy w domach studenckich lodówek i wędlinę kupowało się w takich ilościach, żeby wystarczyło tylko na kolację i na śniadanie. Nie było co prawda lodówek, ale za to były wędliny, bo nikt ich nie kupował w dużych ilościach, na zapas.

Idę z tego sklepu i tak sobie myślę, że dziś to ja zjem soczystej, pachnącej czosnkiem kielbasy, a jutro dla odmiany będzie dzień nabiałowy. Także kupię sobie świeżutki „baton” – bardzo mi one smakowały – kupię też żółty ser i mleko. Zarówno pieczywo, jak i produkty mleczne bardzo mi smakowały. Kiedy tak sobie idę, widzę z przeciwka Edka G. jak sadzi wielkimi susami, prawie podskakując. Widać od razu, że jest z czegoś bardzo zadowolony.

W roku ubiegłym widywaliśmy się codziennie, mieszkaliśmy bowiem w tym samym domu studenckim i studiowaliśmy na tym samym wydziale mechanicznym. Teraz mieszkamy w różnych domach studenckich, a odkąd ja przeniosłem się na wydział elektryczny, rzadko widujemy się, także w Instytucie. (...) . Zaskoczony zastanawiam się: z czego to on tak się cieszy?

Słyszę, że już z odległości kilku kroków woła donośnie:

- Józiu, nasi górą, wygraliśmy Mistrzostwa Europy w boksie.

Otóż okazuje się, że nasi bokserzy zdobyli aż pięć złotych medali na rozegranych w Warszawie, w Hali Mirowskiej, Mistrzostwach Europy w boksie. Polscy pięściarze pokonali tyle silnych drużyn europejskich i to właśnie dla nas, tu w Kijowie, ma niewymierne wprost znaczenie. Dla mnie wiadomość ta jest wręcz bombowa. Ja bowiem także kilka lat temu próbowałem swoich sił w boksie i wiem, że jest to sport męski i twardy.

W przyplwywie wybuchu spontanicznej radości wyściskałem Edka. Takie chwile zacieśniają więzy koleżeńskie i nie tylko, rośnie także poczucie dumy narodowej, człowiek jest dumny z tego, że jest Polakiem. Boks to nie żadne tam plucie na odległość i sukces naszych bokserów świadczy, że jesteśmy narodem silnym i twardym. Będzie się czym chełpić nie tylko wśród kolegów radzieckich, lecz także i wśród Czechów, Węgrów i Rumunów. Chwała wam za to kochani chłopcy, wychowankowie trenera Feliksa Stamma.

11.

W kwietniu nastały ciepłe i słoneczne dni. Czuło się, że wiosna już nadeszła na dobre. Stepowy wiatr osuszył ulice i parkowe ścieżki. W szatniach poznikały kalosze, noszone zazwyczaj w słotne dni przez wykładowców i niektórych studentów. W szatni były specjalne wycięcia na kalosze u dołu stojaków na płaszczce. Z tą modą nigdy nie mogłem się oswoić, zawsze mnie to intrygowało, a nawet śmieszyło. Koledzy z miasta twierdzili, że to nawyk z dawnych czasów, gdy na ulicach w dni wilgotne było dużo lepkiego błota. Mazał się rozmiękły pył nawiany ze stepu. W czasie roztopów będąc w kaloszach ma się później, po ich zdjęciu przed wejściem do pomieszczenia, suche i czyste buty. W moich czasach ulice i chodniki były już utwardzone i utrzymywane w czystości, niemniej zwyczaj noszenia kaloszy jeszcze przez jakiś czas był praktykowany. Wyprzedzając fakty należy dopowiedzieć, że gdy byłem już na piątym roku studiów, kalosze na zwykłych butach nosili już tylko nieliczni.

(...)

Przed przyjazdem do Kijowa praktycznie nie miałem żadnych możliwości uczęszczania do opery i nie miałem nawyków do odbioru tego rodzaju sztuki. W Kijowie w owym czasie zarówno balet, jak i opera reprezentowały wysoki poziom artystyczny i były popularne w szerokich sferach społeczeństwa. W dni powszednie do opery przychodzili ludzie bezpośrednio po pracy, czy też ze szkół. Przychodzili ludzie w gronie swoich znajomych. Przychodziły zakochane pary, żeby razem przeżyć artystyczne uniesienie. Przychodziły również osoby samotne, żeby spędzić swój wolny czas w kulturalny sposób. Mnie także urzekał ten wszechobecny tutaj artystyczny nastrój. Tworzyły go artyzm wnętrza, gra wybitnych muzyków i aktorów i pogodne, uduchowione twarze widzów. Budziły się w człowieku artystyczne zakamarki osobowości, człowiek stawał się tutaj jakby lepszy i szlachetniejszy.

Dbano tu także i o to, by zwykle ludzkie potrzeby były w miarę ówczesnych możliwości zaspokajane na wykwintnym poziomie. Podczas przerwy można było kupić w barach gustownie przyrządzone kanapki z kawiozem, jak również najlepsze słodczyce.

Do opery szło się w przyjaźnie i życzliwie usposobionym towarzystwie, toteż przy końcu spektaklu robiło się przykro, że oto ten przyjemny czas za chwilę już się skończy. Jeszcze na zewnątrz można było podtrzymywać nastrój, podziwiając kunszt artystyczny frontonu budynku opery. Zbudowany został on w latach 1897 – 1901 według projektu A. W. Szretera.

Po spektaklu byłem w podniosłym nastroju i nie chciało mi się wracać od razu do szarzyzny życia codziennego w domu studenckim. Był ciepły kwietniowy wieczór, wymarzony czas na spacer. Dookoła pachniało wiosną. Zadziwiały swoją krasą i tajemniczością nabrzmiałe pąki kasztanów. Topole i brzoźki podświetlone latarniami ulicznymi urzekały delikatnym odcieniem świeżej zieleni. Kręciło się od tej wiosny w młodej studenckiej głowie. To już druga moja wiosna w Kijowie. Poprzednia przeminęła tak z dnia na dzień, jakby przeciekając przez palce. Przytłumił ją natłok zajęć na uczelni. Teraz po zdaniu pierwszego egzaminu z podstaw elektrotechniki myśli nie były już takie skołatanie i weselej spoglądałem na świat. Cóż kiedy i tę wiosnę przyjdzie spotykać samotnie, nie będzie do kogo szepnąć czułego słówka ani się takiego słowa nie usłyszy od bliskiej sercu osoby.

W tak melancholijnym nastroju skręciłem na Kreszczatik. Tutaj zwykle o tej porze, i to aż do północy, tłumnie spacerowali mieszkańcy tego pięknego miasta. Ludzie jakby chcieli nacieszyć się atmosferą pokoju po okrutnej wojnie, wciąż tkwiącej w pamięci. Już za dziesięć dni, 9 maja, minie 8 lat od jej zakończenia, a na jesieni będzie 10 rocznica wyzwolenia Kijowa. Miasto wciąż jeszcze goiło swoje rany odniesione w czasie działań wojennych. W miejsce zburzonych budynków wyrastały nowe, solidne bloki. (...)

Gdy przechodziłem obok baru przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby tam wstąpić i coś przekąsić. Bar nazywał się KAFE, ale nie była to kawiarnia taka, gdzie ludzie przy stolikach popijają sobie kawę

i prowadzą pogawędki towarzyskie. Tutaj zachodziło się, żeby coś zjeść, głównie jadało się cienkie parówki z bułeczką lub inne lekkie dania. Oczywiście była też herbata i kawa, ale pito ją zwykle szybko i wychodziło się, żeby innym zrobić miejsce, bo lokale te cieszyły się powodzeniem i frekwencja była duża. Było w nich czysto i schludnie. Mówiono mi, że te „sosiski” (cienkie parówki) polecił wprowadzić długoletni sekretarz Komitetu Centralnego partii Mikojan po wizycie w Stanach Zjednoczonych, na wzór tamtejszych „hot-dogów”. W latach późniejszych, gdy już jako doświadczony specjalista w swojej branży podróżowałem w sprawach zawodowych po świecie i losy zaniósł mnie do Ameryki Południowej, to tam także spożywałem te cienkie parówki. Nazywały się one po hiszpańsku „perro caliente”, czyli dosłownie „pieski gorące”.

Gdy zachwyciałem się lodami, które można było jeść zimą na ulicy, bez obawy o przeziębienie, to także powiedziano mi, iż receptę na takie lody opracowano na polecenie Mikojana. Najwidoczniej ten pochodzący z Armenii sekretarz partii chciał zaskarbić sobie tym uznanie wśród szerokiej rzeszy społeczeństwa.

Te gorące parówki, pierożki i lody – to były naprawdę dobre rzeczy. Ślinka mi cieknie także na wspomnienie takich dań, jak „pielmieni”(kołduny) w rosole, czy bliny polane gęstą śmietaną, nie wspominając już o barszczu ukraińskim. Nie lubiłem kapuśniaku, zwanego „szczzi”.

Tak mi dobrze było w ten wieczór wiosenny w centrum miasta, że ledwo zdążyłem na ostatni trolejbus. Nawet się ucieszyłem na widok polskich studentów. Pogadamy sobie po drodze. Ale oni najwidoczniej byli czymś rozbawieni, coś do siebie szeptali i co chwila jeden z nich wybuchał gromkim śmiechem. Gdy zagadnąłem ich o powody takiej radości, uśmiechnęli się do siebie tajemniczo, jakby tylko dla siebie chcieli coś tam zachować. W końcu jeden z nich nie wytrzymał, machnął ręką i rzekł, że i tak to się rozniesie, bo z nimi ktoś tam jeszcze był. Podszedł bliżej mnie i rozbawionym głosem mówi prawie wprost do ucha:

- Józiu, omal nas nie zamknęto!

- A za co to? – pytam dociekliwym tonem.

- Wiesz, że nasz kolega ma kłopoty z pęcherzem i akurat przyparło go w pobliżu trybuny. Wszedł więc sobie na trybunę, stanął w kąci i robi swoje. A tu z dołu ktoś wrzeszczy. Okazało się, że to milicjant, który akurat pilnował trybuny przed ewentualnym zbezczeszczeniem i został przez szpary w deskach obsikany. Wywiązała się zasadnicza dyskusja, że jak to można bezcześcić trybunę, na której staną najwyżsi dostojnicy partyjni i państwowi. Także mundur milicjanta został splamiony. Słowem sprawa zaczęła nieprzyjemnie pachnieć. Jednakże milicjant okazał się wyrozumiałym człowiekiem dla ludzkich ułomności, coś tam bąknął o braku kultury i kazał się wynosić durnym studentom.

Oczywiście nazajutrz o incydencie wiedziała już cała polska grupa studencka na Politechnice. I wszyscy wzdychali, jakby z przejęciem: jak to dobrze, że to się tak łagodnie skończyło. Bo gdyby opisano ten incydent w gazetach, byłby nieprzyjemny afront dla wszystkich polskich studentów w Kijowie.

12.

Wiosna rozkwitła na całego także w parku przy Instytucie. (...) A i czas egzaminów się zbliża. Oj doloż, ty dolo studencka! I leż to wyrzeczeń trzeba ponieść w młodości, żeby wyuczyć się na inżyniera.

(...)

Właśnie zaczęły się już pierwsze zaliczenia. Niektóre z nich mają rangę sprawdzianu znajomości materiału z danego przedmiotu, z którego nie został przewidziany egzamin. Te będą wpisane do indeksu bez oceny. Inne znów są tylko sprawdzianem przed egzaminem, jakby kwalifikowały dopuszczenie do egzaminu.

Zawsze interesowały mnie wiadomości o wydarzeniach w szerokim świecie. O niektórych dowiadywałem się z polskiej prasy, która, rzecz jasna, przychodziła z opóźnieniem. I tak gdzieś na początku czerwca przeczytałem, iż 29 maja 1953 roku został zdobyty najwyższy szczyt świata Mont Everest o wysokości 8848 metrów. Zdobyli go alpinisci z wyprawy brytyjskiej E.P. Hilary (Nowozelandczyk) i Tenzing (Szerpa). Było to akurat w dzień koronacji królowej brytyjskiej Elżbiety II. Była to wiadomość bardzo ciekawa. Świadczyła, że świat nie kończy się tylko na Związku Radzieckim, jak to by wynikało z codziennych audycji podawanych przez głośnik radiowy w pokoju.

W okresach sesji egzaminacyjnych człowiek niejako automatycznie mobilizował się do stojących przed nim pięciu, a czasami więcej egzaminów. Przekonałem się, że wiosną mimo wszystko nauka przychodzi łatwiej niż zimą. Zarówno mózg, jak i cały organizm są bardziej dotlenione i pracują sprawniej. Częściej wietrzono sale wykładowe, jak również pokoje w domach studenckich. Można także zaszyć się z książkami i zeszytami w zielonych zakamarkach parku. Ja naprawdę czuję się zdecydowanie lepiej, gdy przestają grać kaloryfery. Podobnie jak sesja zimowa, tak i teraz sesja wiosenna nie wyczerpała mnie już tak, jak to było wiosną ubiegłego roku po egzaminie z chemii.

Po kilkutygodniowej harówce, po ostatnim egzaminie tak jakoś dziwnie zrobiło się na duszy, że to już po wszystkim, że zaczynają się wakacje. Wszakże z satysfakcją uświadomiłem sobie, iż zaliczyłem drugi rok studiów na Politechnice Kijowskiej, że w indeksie figurują same wysokie oceny. Gryzie człowiek tę naukę i to z dobrym skutkiem.

13.

Po egzaminach pozostałem kilka dni w Kijowie, żeby popatrzeć na to miasto, które wciąż bardziej i bardziej mi się podoba. Już nieraz uświadamiałem sobie, że dobrze się tutaj czuję, prawie jak u siebie w domu, prawie jakbym był członkiem tutejszej społeczności. A społeczność ta jest dobrze zorganizowana. Młodzi uczą się, dorośli pracują, a emeryci przesiadują na ławeczkach w parkach lub w ciepłe dni na plażach nad Dnieprem. Obowiązki i zadania mają wszyscy, po prostu mają wytyczony cel w życiu. A po wypełnieniu swoich obowiązków jest gdzie spędzić przyjemnie wolny czas.

Widać było, że życie toczy się pod kontrolowanym nadzorem, nie było widać ani zataczających się pijaków, ani zaniedbanych łazęgów. Praktycznie nie widziało się milicji, poza drogową. To układne zachowanie się ludzi było wynikiem samokontroli w ramach organizacji społecznych.

Rzecz oczywista nie wszystko było tak zupełnie cacy. Strzec się należało kieszonkowców, specjalistów od dyskretnego zdejmowania zegarków. Ale nocą po ulicach można było iść w sobie tylko wiadomym celu i czuć się bezpiecznie. Nie należało wszakże przesadzać z tą ufnością i zagłębiać się w nieoświetlone, rzadziej uczęszczane zakamarki parków. Można się było tam pozbawić jeśli już nie całej odzieży, to choćby jej części. Szczególnie miało to miejsce w ciągu kilku miesięcy po ogłoszeniu amnestii po śmierci Stalina. Ale szybko uporano się i z tym problemem.

(...)

Wyjątkowo skutecznie uporano się z zaśmiecaniem ulic łupinkami pestek słonecznika. Te prażone pestki słonecznika jedli naoczas prawie wszyscy młodzi i dorośli, wypluwając łupinki na wszystkie strony. Miejsca dla publiczności na stadionach były po meczach pokryte szarą warstwą łupinek. Także chodniki spacerowe na Kreszczatiku były tym zaśmiecone. Dyskutowano długo na ten temat i postanowiono z tym skończyć. Zaapelowano do mieszkańców, żeby nie wyrzucali łupinek w miejscach publicznych i poskutkowało od razu. Łupinki po pestkach chowano do torebek lub do kieszeni, a potem wyrzucano je do pojemników na śmieci. Moralisci nie przepuścili nikomu, kto by się odważył po dawnemu wypluwać łupinki na ulicę.

Faktem było, że chodniki były tak czyste, że żartowano nawet, iż siadając na chodnik można go było zabrudzić. Nie zrywano kwiatów z licznych rabatek i gazonów wzdłuż ulic i alejek parkowych, nie łamano ławek, nie rozbijano kloszy lamp oświetleniowych, nie uszkodzono automatów z wodą gazowaną i nie zabierano szklanek. Bardzo mi się podobał taki porządek.

Tę czystość w Kijowie można uważać za drobiazg, ale przecież świadczyła ona naocześnie o poziomie kulturalnym społeczeństwa w życiu codziennym. A życie kulturalne na wyższym poziomie to była kijowska opera i filharmonia, reprezentujące w owym czasie bardzo wysoki poziom artystyczny. Nie świeciły one pustkami, nawet w robocze dni tygodnia.

Już w następnym dniu po zakończeniu sesji egzaminacyjnej koledzy z pokoju rozjeżdżali się do swoich rodzinnych domów. Ale Wania i Sasza zwlekali z wyjazdem.... (...)

Jeszcze przed egzaminami Sasza zorganizował spotkanie z zaprzyjaźnioną grupą dziewcząt z Uniwersytetu. Tym razem w drodze wyjątku zaprosił także Wanię, którego dotąd nie zapraszał, uważając, że jest zbyt leciwy. No i cóż się okazało? Otóż ta najważniejsza i ponoć najładniejsza studentka Tasia, o której Sasza zwykle tak dużo mówił, zainteresowała się właśnie Wanią. Sasza myślał początkowo, iż jest to zwykły kaprys panny. Przez wiele miesięcy on był zupełnie pewny stałości tej dziewczyny, wyróżniającej się w swojej grupie uczelnianej. On przecież także był najważniejszy w swojej grupie i był taki fertyczny, śmiały i wygadany

Wania mówił ponoć niewiele tylko spoglądał nieśmiało i wzdychał. Widocznie źle się czuł w znacznie młodszym od siebie towarzystwie. I jak to w zaufaniu powiedział Stiopa, to ta rzekoma nieporadność Wani skłoniła Tasię, żeby się nim bliżej zainteresować. Jednakże nie same tylko uczucia miały tu najważniejsze znaczenie. Wania był zasłużonym frontowcem, był także solidnym, obowiązkowym studentem. Doceniono jego zasługi dla ojczyzny i zalety charakteru oraz już wcześniej zaproponowano, że będzie mógł zostać na uczelni jako asystent, podjąć pracę pedagogiczną i naukową. Zatem po studiach nie będzie musiał wyjeżdżać do pracy w kopalni, lecz może pozostać w Kijowie (...)

Dla Tasi, dziewczyny z głębokiej prowincji, zamieszkanie na stałe w stolicy Ukrainy na pewno było szczytem marzeń. I tu trafiła się gratka, a i partner był całkiem do rzeczy, zarówno z wyglądu, jak i z charakteru. Wszystko to sobie szybko skalkulowała i dokonała wyboru, dając przysłowiowego kosza swemu dotychczasowemu adoratorowi, który nie miał żadnych szans na pozostanie w Kijowie. Sasza, przepełniony ideologicznymi frazesami, nie wziął pod uwagę praktycznego spojrzenia kobiet na sprawy

życiowe. A i miłość Tasi nie była jakaś wyjątkowa, jak to sobie wyimaginował Sasza, skoro tak łatwo przeważyły inne sprawy. (...)

W następnym roku studiów Wania i Tasia uważani byli za narzeczonych i rzeczywiście pobrali się i na stałe zamieszkali w Kijowie. (...)

Pora już jechać do domu. Tam ojciec na pewno czeka z utęsknieniem i codziennie wychodzi na przystanek autobusowy. I chociaż dzieli nas ponad 1000 km, to jakby przez telepatię czuję, iż ktoś czeka na mnie i mnie wzywa. Więc sakum-pakum i w drogę do domu, do swoich bliskich.

14.

W dniu wyjazdu z Kijowa od rana niebo zasnuwane było szczelnie ciemnymi chmurami i siał deszczyk. Na peronie było pustawo. Pasażerowie szybko wsiadali do wagonów, a odprowadzający w pośpiechu wypowiadali pożegnane formułki i uciekali do domów.

Deszcz się nasilał, jakby pomiędzy niebem i ziemią powstała wodna strefa. Przy takiej pogodzie nie chciało się nawet oglądać świata z okna wagonu. Parowa lokomotywa ciągnęła wagony po starych torach. Powoli, bo powoli, ale przecież jechało się naprzód. Taka jazda miała tę dobrą stronę, że nie było gwałtownych szarpnięć ani rzucania na boki. Jechało się dłużej, lecz można było spokojnie porozmawiać, poczytać, czy pospać.

Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby przekąsić coś gorącego przed nocą. Dobrze mi się śpi wtedy, gdy jestem syty. (...)

W wagonie restauracyjnym patrząc w jadłospis nie można było sobie pogrymasić. Dobrze chociaż, że był barszcz ukraiński. Ale, tfu, cóż to za zimna lura! Z drugich dań na dobrą sprawę był tylko kotlet mielony z makaronem. Kotlet, owszem, był spory i pełnomięsny, nie czuło się w nim nadmiaru bułki. Ale makaron to istne paskudztwo – zimne, nasiąknięte wodą kluchy. Od razu przyszły mi na myśl smaczne dania w naszej studenckiej stołówce. Kierownictwo gastronomiczne kolei było widocznie zdania, że pasażer, gdy się wytrzęsie, to zje wszystko, byleby było.

Jakby dla osłody był spory wybór napojów alkoholowych i chłodzących. Ucieszyłem się, że była moja ulubiona woda mineralna „borżomi”, która mnie zawsze wybawiała z opresji żołądkowych.

W sprzyjającej ku temu aurze zasnąłem w błogim nastroju. Spałem twardo i długo. Obudzili mnie krzątający się w przedziale pasażerowie. Wyrozumowałem, iż pora wstawać, golić się i myć, zbliżamy się bowiem do Brześcia.

W Brześciu procedura odpraw dokładnie taka sama jak przed rokiem. Tym razem nie wiozłem niczego w nadmiarze i wszystkie odprawy przeszedłem z obojętną, wyniosłą miną. Pociąg przejechał przez most na Bugu, a po chwili widok ludzi pracujących na polach i łąkach nasunął myśl, że jestem już w moim rodzinnym kraju. Na dworcu w Terespolu już całkiem inny świat. Wszędzie mówi się po polsku, inaczej ubrani są ludzie. Wypiłem duży kufel ciemnego piwa. Picie tego piwa, właśnie na tej stacji stało się niejako rytuałem związanym z wjazdem do Polski, po pomyślnym przekroczeniu granicy. Odprawy paszportowa i celna po polskiej stronie przebiegały zwykle bez emocji i nie nastroczały stresów.

Byłem w dobrym nastroju, z przyjemnością patrzyłem przez okno na mijane pola, wieś i miasteczka. Poprawiła się pogoda. Spoza przelotnych chmur od czasu do czasu wyglądało słońce. Przyroda dyszała pełnią życia. Zboża już urosły i zaczęły dojrzewać. Kwitły pola ziemniaczane. Te szachownice zbóż i zagony ziemniaczane to znajomy krajobraz z lat dziecińczych. Jakież to swojskie i bliskie!

Wtem ktoś, jakby ze zdziwieniem, zawołał, że w oddali widać jakieś wysokie konstrukcje. Tak, to znajdujący się w budowie Pałac Kultury i Nauki już z oddali zwiastuje, iż zbliżamy się do Warszawy. Szybko budowano ten najwyższy w przyszłości gmach w Polsce. Dnia 5 kwietnia 1952 roku podpisana została w Warszawie umowa o tym, że Związek Radziecki własnymi środkami i siłami wybuduje w Warszawie Pałac Kultury i Nauki. Ma on mieć wysokość 230,7 m. Zaprojektowali go radzieccy architekci pod kierownictwem L. Rudniewa. Mieć będzie 42 kondygnacje oraz iglicę o wysokości 43 m. Do wysokości wieży Eiffla, która mierzy 300 metrów, to naszemu pałacowi jeszcze daleko!

15.

Po drodze ze stacji kolejowej w Grajewie, jadąc do mojej rodzinnej miejscowości Szczuczyn, w podnieceniu patrzę z okna autobusu na dobrze znajomą mi okolicę. A kiedy już z morenowego wzniesienia dojrzałem kościół i zabudowania miasta, mocniej zabiło mi serce.

Na przystanku, jeszcze przy zamkniętych drzwiach autobusu widzę, że ktoś zagląda przez szyby. O Boże, to jest przecież mój ojciec! Już i on mnie dojrzał, widzę jego rozjaśnioną twarz i radość w oczach. Dawnym zwyczajem pocałowałem Tatusia w rękę i idziemy razem do domu, szczęśliwi

ze spotkania, po prawie rocznej rozłące. Siostra powiedziała mi później, że ojciec już od kilku dni niecierpliwie mnie oczekiwał i często wychodził na przystanek autobusowy. Wiosną jeszcze nakazał hodować kury, które ja miałem zjeść po przyjeździe.

Pewniej i łatwiej żyje się na tym świecie, gdy się ma tak bliskiego i oddanego człowieka. Bardzo wiele zawdzięczam mojemu ojcu. Opiekował się nami (siostrą, bratem i mną) po śmierci mamy w 1940 roku. Narażał swoje życie, żeby zarobić na nasze utrzymanie podczas wojny. Świecił przykładem solidności i prawości charakteru. Zawsze go podziwiałem, imponował mi doskonałą pamięcią i logiką kojarzenia faktów oraz wysuwanych wniosków. Mówiono, że jestem do niego całkowicie podobny. Na pewno imponowało mu to, że ma syna studenta, który zostanie inżynierem.

(...)

16.

Kiedy już nacieszyłem się atmosferą domu rodzinnego i odwiedziłem tak ważne dla mnie ongiś, w dziecińczych latach, tajemnicze zakamarki w miasteczku, jak chociażby stara szkoła w celach popijarskich, a także ostępy w okolicznych lasach, akurat nadeszła pora wyjazdu na obóz studencki w Dziwnowie. Tak więc po raz drugi w życiu będę spędzał wakacje nad morzem. (...)

Za to teraz, wśród wesołej braci polskich studentów będę miał okazję powetować sobie niedostatek konwersacji w czystym języku polskim. Postanawiam, że będę dużo mówił i będę szukał wszelkich możliwych okazji do rozmowy.

A okazji nie brakowało, bo koleżanki i koledzy ciekawi byli, jak to tam jest na studiach w ZSRR? Mówiłem szczerze, zarówno o przyjemnych, jak i o mniej przyjemnych stronach mojego pobytu w Kijowie. Nic nie upiększałem ani nie koloryzowałem, więc mi wierzono i darzono zaufaniem. Po kilku dniach na dobre się rozgadałem i miałem wrażenie jakbym odzyskał mowę. (.....)

17.

Pakując się przed wyjazdem, mam jakby rozdwojoną jaźń. Dobrze mi tutaj, nawet bardzo dobrze w rodzinnym gronie, ale coś człowieka korci i ciągnie w świat. Zatęskniłem już za nauką i atmosferą studencką na uczelni. Jak to dobrze, że na świecie jest pokój i że ja będę mógł kontynuować naukę. Dla młodego człowieka jest to największym dobrem, po prostu skarbem. Dobre to były czasy dla młodzieży z niezamożnych domów. Kto tylko chciał i miał predyspozycje, mógł uczyć się w szkole średniej, a potem studiować.

W ostatniej chwili przed pożegnaniem trzeba było raz jeszcze otwierać walizkę, gdyż ojciec wręczył mi przyniesiony z piwnicy spory polec przyrządzonej przez niego wędzonki. Biorę ją chętnie z myślą, że także i w tym roku będę mógł poczęstować kolegów z pokoju, a pewnie przyjdzie mi mieszkać już w innym gronie niż w roku ubiegłym.

W Warszawie, po dokonaniu zakupów i odbiorze dokumentów wyjazdowych, zaszedłem do restauracji „Pod Kuchnikiem” na Nowym Świecie. Zamówiłem, rzecz jasna, kotlet schabowy. Serwowano tam wtedy kotlety duże na cały talerz, grube i soczyste. Słowem był to solidny kawał smacznego mięsa.

Po takim posiłku z ufnością patrzy się na świat. A jutro hajda na Ukrainę, do Kijowa!